

Henry S. ...





Nr. 11545

Pał

Warszawa. Druk P. Laskauera i W. Babickiego.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXXV

QUO VADIS

CZĘŚĆ VI.

PAŃSTWOWE
Seminarium Nauczycielskie
MĘSKIE
im. 569 564
Warszawa

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)

1901

Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Декабря 1900 г.

QUO VADIS

CZEŚĆ VI.

9280

BIBLIOTEKA
przy
PAŃST. SEMIN. NAUCZ.
w Leśnej Podlaskiej.
N^o inwentarza
Dział biblioteki
N^o 564

ROZDZIAŁ LX.

Od kilku dni Winicyusz spędzał noce za domem. Petroniuszowi przychodziło do głowy, że on może znów ułożył jakiś nowy plan i pracuje nad uwolnieniem Ligii z eskwilińskiego więzienia, nie chciał go już jednak o nic pytać, by nie przynieść nieszczęścia robocie. Ten wykwinny sceptyk stał się także pod pewnym względem przesądnym, a raczej, od czasu, jak nie udało mu się wyrwać dziewczyny z Mamertryńskiego podziemia, przestał ufać swej gwieździe.

Nie liczył zresztą i teraz na dobry wynik zabiegów Winicyusza. Eskwilińskie więzienie, urządzone naprędce z piwnic domów, które zburzono dla położenia tamy pożarowi, nie było wprawdzie tak straszne, jak stare Tulianum obok Kapitolu, ale było natomiast stokroć bardziej strzeżone. Petroniusz rozumiał doskonale, że Ligię przeniesiono tam tylko dlatego, by nie

umarła i nie uniknęła amfiteatru, łatwo mu więc było domyślić się, że właśnie z tego powodu muszą jej pilnować, jak oka w głowie.

— Widocznie — mówił sobie — Cezar wraz z Tygellinem przeznaczają ją na jakieś osobne, straszniejsze od wszystkich widowisko, i Winicyusz prędzej sam zginie, niż zdoła ją wydobyć.

Winicyusz jednak stracił także nadzieję, czy potrafi ją wydobyć. Obecnie mógł to uczynić tylko Chrystus. Młodemu trybunowi chodziło już tylko o to, by mógł ją widywać w więzieniu.

Od niejakiego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że Nazaryusz dostał się jednak do Marmertyńskiego więzienia, jako najemnik do wynoszenia trupów, postanowił więc spróbować tej drogi.

Przekupiony za ogromną sumę dozorca «Cuchnących Dolów», przyjął go wreszcie w poczet swej czeladzi, którą co noc wysyłał po trupy do więzień. Niebezpieczeństwo, by Winicyusz mógł być poznany, było istotnie male. Chroniły od niego: noc, niewolniczy ubiór i złe oświetlenie więzień. Komuż zresztą mogło przyjść do głowy, by patrycyusz, wnuk i syn konsulów, mógł się znaleźć między czeladzią grabarską, narażoną na wyziewy więzień i «Cuchnących Do-

łów», i jął się pracy, do której zmuszała ludzi tylko niewola lub ostatnia nędza!

Lecz on, gdy nadszedł upragniony wieczór, z radością przewiązał biodra i okręcił głowę szmatą, napojoną terpentyną, i z bijącym sercem udał się wraz z gromadą innych na Eskwilin.

Straże pretoriańskie nie czyniły im trudności, wszyscy bowiem zaopatrzeni byli w odpowiednie «tessery», które centuryon oglądał przy świetle latarni. Po chwili wielkie żelazne drzwi otworzyły się przed nimi, i weszli.

Winicyusz ujrzał przed sobą obszerną sklepioną piwnicę, z której przechodziło się do szeregu innych. Mdłe kaganki oświecały wewnętrzne, napelnione ludźmi. Niektórzy z nich leżeli pod ścianami, pogrążeni w śnie, lub może umarli. Inni okrążali wielkie naczynie z wodą, stojące w pośrodku, z którego pili, jak ludzie trawieni gorączką; inni siedzieli na ziemi z łokciami wspartymi o kolana i z głowami w dłoniach; gdzie indziej dzieci spały, poprzytulane do matek. Naokół słychać było to jęki i głośny przyśpieszony oddech chorych, to płacz, to szepty modlitwy, to pieśni, nucone półgłosem, to przekleństwa dozorców. W podziemiu panował trupi zaduch i tłok. W mrocznych głębiach roily się ciemne postaci, bliżej zaś, przy migotliwych pło-

mykach, widać było twarze wybladłe, przerażone, zapadłe i głodne, z oczyma zgasłemi, albo płonącemi gorączką, ze zsiniałemi ustami, ze strugami potu na czołach i pozlepianym włosiem. Po kątach majaczyli głośnie chorzy, inni wolali o wodę, inni, by ich wieść na śmierć. A było to jednak więzienie mniej straszne od starego Tulianum. Pod Winicyuszem nogi zachwiały się na ten widok, i w piersi zabrakło mu oddechu. Na myśl, że Ligia znajduje się wśród tej nędzy i niedoli, włosy powstały mu na głowie, a w piersiach zamarł krzyk rozpaczny. Amfiteatr, kły dzikich zwierząt, krzyże, wszystko było lepsze od tych straszliwych, pełnych trupiego zaduchu podziemi, w których błagalne głosy ludzkie powtarzały ze wszystkich kątów:

— Wiedźcie nas na śmierć!

Winicyusz wpil w dłonie paznogie, czuł bowiem, że słabnie i że opuszcza go przytomność. Wszystko, przez co przeszedł dotychczas, cała miłość i boleść zmieniła się w nim w jedną żądzę śmierci.

Wtem, tuż obok, ozwał się głos dozorca «Cuchnących Dolów»:

— A ile macie dziś trupów?

— Będzie z tuzin, — odpowiedział strażnik więzienny — ale do rana będzie więcej, bo tam już niektórzy rzeżą pod ścianami.

I począł narzekać na kobiety, że ukrywają zmarłe dzieci dlatego, by dłużej je mieć przy sobie i nie oddawać, póki można, do «Cuchnących Dolów». Trzeba trupy poznawać dopiero po zapachu, przez co powietrze, i tak straszne, psuje się jeszcze bardziej. «Wolałbym — mówił — być niewolnikiem w wiejskim ergastulum, niż pilnować tych gnijących za życia psów». Dozorca «Dolów» pocieszał go, twierdząc, że jego służba nie jest lżejsza. Przez ten czas Winicyuszowi wróciło poczucie rzeczywistości, i począł rozglądać się w podziemiu, w którym jednak napróżno szukał oczyma Ligii, myśląc przytem, że może jej wcale nie zobaczyć, dopóki będzie żywa. Piwnic było kilkanaście, połączonych z sobą świeżymi przekopami, czeladź zaś grabarska wchodziła tylko do tych, z których trzeba było zabierać ciała zmarłych, zdjął go więc strach, że to, co kosztowało tyle trudów, może mu na nic nie posłużyć.

Na szczęście jego patron przyszedł mu z pomocą.

— Ciała trzeba zaraz wynosić, — rzekł — bo zaraza najbardziej szerzy się przez trupy. Inaczej pomrzecie i wy, i więźniowie.

— Na wszystkie piwnice jest nas dziesięciu, — odrzekł strażnik — i musimy przecie spać.

— To ja ci zostawię czterech moich ludzi, którzy w nocy będą chodzili po piwnicach i patrzyli, czy kto nie umarł.

— Wypijemy jutro, jeśli to uczynisz. Każdego trupa niech zaniosą do próby, bo przyszedł rozkazy, by umarłym przekłówać szyje, a potem zaraz z nimi do «Dolów!»

— Dobrze, ale wypijemy! — ozwał się dozorca.

Poczem wyznaczył czterech ludzi, a między nimi Winicyusza, z pozostałymi zaś zabrał się do wkładania trupów na nosze.

Winicyusz odetchnął. Był pewien przynajmniej tego, że teraz odnajdzie Ligię.

I naprzód począł przeglądać starannie pierwsze podziemie. Zajrzał do wszystkich ciemnych kątów, do których prawie nie dochodził blask kaganka, obejrzał postaci śpiące pod ścianami, pod przykryciem płacht, obejrzał najciężej chorych, których pozaciągano w kąt osobny, Ligii jednakże nie mógł nigdzie odnaleźć. W drugiej i trzeciej piwnicy poszukiwania jego pozostały również bez skutku.

Tymczasem godzina uczyniła się późna: ciała powynoszono. Strażnicy, ułożywszy się w korytarzach, łączących piwnice, posnęli; dzieci znużone płaczem, umilkły; w podziemiach słychać

było tylko oddech strudzonych piersi i gdzieś niegdzie jeszcze szept modlitw.

Winicyusz wszedł z kagankiem do czwartej z kolei piwnicy, znacznie mniejszej, i, podniósłszy światło w górę, począł się po niej rozglądać.

I nagle drgnął, zdawało mu się bowiem, że pod zakratowanym otworem w ścianie widzi olbrzymią postać Ursusa.

Więc, zdmuchnąwszy w tej chwili kaganek, zbliżył się do niego i spytał:

— Ursus, czy to ty?

Olbrzym odwrócił głowę:

— Ktoś ty jest?

— Nie poznajesz mnie? — zapytał młody człowiek.

— Zgasileś kaganek, jakże mogę cię poznać?

Lecz Winicyusz dojrzał w tej chwili Ligię, leżącą na płaszczu przy ścianie, więc, nie mówiąc nic więcej, klęknął przy niej.

Ursus zaś poznał go i rzekł:

— Chwała Chrystusowi! ale nie budź jej, panie.

Winicyusz, klęcząc, wpatrywał się w nią przez łyzy. Mimo mroku, mógł odróżnić jej twarz, która wydała mu się bladą, jak alabaster, i wychudzone ramiona. I na ten widok ogarnęła go miłość, podobna do rozdzierającego bólu, wstrząsająca duszą do ostatnich głębin, a zarazem tak

pełna litości, czci i uwielbienia, że, padłszy na twarz, począł przyciskać do ust brzeg płaszcza, na którym spoczywała ta droga mu nad wszystko głowa.

Ursus przez długi czas patrzył na niego w milczeniu, nakoniec jednak pociągnął go za tunikę.

— Panie, — spytał — jak się dostałeś? i czy przychodzisz ją ocalić?

Winicyusz podniósł się i przez chwilę jeszcze walczył ze wzruszeniem.

— Wskaż mi sposób! — rzekł

— Myślałem, że ty go znajdziesz, panie. Mnie jeden tylko przychodził do głowy...

Tu zwrócił oczy ku okratowanemu otworowi, poczem, jakby odpowiadając sam sobie, ozwał się:

— Tak!... Ale tam są żołnierze...

— Setnia pretoryanów — odpowiedział Winicyusz.

— Więc... nie przejdziemy!

— Nie!

Lig potarł czoło ręką i zapytał powtórnie:

— Jak tu wszedłeś?

— Mam tessere od dozorey «Cuchnących Dolów»...

I nagle urwał, jak gdyby jakaś myśl błysnęła mu w głowie.

— Na mękę Zbawiciela! — począł mówić prędkim głosem. — Ja tu zostanę, a ona niech weźmie moją tessere, niech owinie głowę szmatą, okryje ramiona płaszczem i wyjdzie. Wśród niewolników grabarskich jest kilku niedoroslých pacholków, więc pretoryanie nie poznają jej, a gdy raz dostanie się do domu Petroniusza, ten ją ocali!

Lecz Lig opuścił głowę na piersi i odrzekł:

— Ona nie zgodziłaby się na to, albowiem miłuje cię, a przytem jest chora i o własnej mocy stać nie może.

Po chwili zaś dodał:

— Jeśli ty, panie, i szlachetny Petroniusz nie mogliście jej z więzienia wydobyć, to któż zdola ją ocalić?

— Jeden Chrystus!...

Poczem umilkli obaj. Lig w prostaczej swej głowie myślał sobie: «Onby mógł przecie wszystkich ocalić, ale skoro tego nie czyni, to widać przyszedł czas mąk i śmierci». I zgadzał się na nią dla siebie, ale żał mu było do głębi duszy tego dziecka, które wyrosło na jego rękę i które kochał nad życie.

Winicyusz klęknął znów przy Ligii. Przez zakratowany otwór wkradły się do podziemia promienie księżyca i oświeciły je lepiej od je-

dynego kaganka, który migotał jeszcze nad drzwiami.

Wtem Ligia otworzyła oczy i, położywszy swe rozpalone dłonie na rękach Winicyusza, rzekła:

— Widzę cię, i wiedziałam, że przyjdiesz.

On zaś rzucił się do jej rąk i począł przykładać je do czoła i serca, potem uniósł je nieco z posłania i wsparł o własne piersi.

— Przyszedłem, droga — rzekł. — Niech cię Chrystus strzeże i ocali, o Ligio umiłowana!...

I nie mógł mówić więcej, albowiem serce poczęło mu skowyczeć w piersiach z bólu i miłości, a z bólem nie chciał się przed nią zdradzić.

— Chora jestem, Marku, — odrzekła Ligia — i czy na arenie, czy tu, w więzieniu, muszę umrzeć... Ale modliłam się, bym cię przedtem mogła zobaczyć, i przyszedłeś: Chrystus mnie wysłuchał!!

A gdy jeszcze nie mógł zdobyć się na słowa i tylko przyciskał ją do piersi, mówiła dalej:

— Widywałam cię przez okno z Tulianum — i wiedziałam, żeś chciał przyjść. A teraz Zbawiciel dał mi chwilę przytomności, abyśmy się mogli pożegnać. Już ja idę do Niego, Marku, ale kocham cię i zawsze będę kochała.

Winicyusz przemógł się, zdusił w sobie ból i począł mówić głosem, który starał się uczynić spokojnym:

— Nie, droga. Ty nie umrzesz. Apostoł kazal wierzyć i przyrzekł modlić się za ciebie, a on Chrystusa znał, Chrystus go miłował i niczego mu nie odmówił... Gdybyś miała umrzeć, Piotr nie kazalby mi ufać, a on mi rzekł: «Ufaj!» Nie, Ligio! Chrystus zmiłuje się nade mną... On nie chce twojej śmierci, On jej nie dopuści... Przysięgam ci na imię Zbawiciela, że Piotr modli się za ciebie!

Nastala cisza. Jedyne kaganek, wiszący nad drzwiami, zgasł, ale za to światło księżyca wchodziło całym otworem. W przeciwnym kącie piwnicy zakwiliło dziecko i ucichło. Zzewnątrz tylko dochodziły głosy pretoryanów, którzy po odbytej kolei strażniczej, grali pod murem w «scriptae duodecim».

— O Marku, — odrzekła Ligia — Chrystus sam wolał do ojca: «Oddał ode mnie ten kielich goryczy», a jednak go spełnił. Chrystus sam umarł na krzyżu, a teraz giną za niego tysiące, więc dla czegoż mnie jedną miałby oszczędzać? Któż ja jestem, Marku? Słyszałam, jak Piotr mówił, że i on umrze umęczon, a któż ja jestem wobec niego? Gdy przyszli do nas pretoryanie, bałam się śmierci i męki, ale teraz się już nie

boję. Patrz, jakie to straszne więzienie, a ja idę do nieba. Pomyśl, że tu jest Cezar, a tam jest Zbawiciel, dobry i miłosierny. I niema śmierci. Ty mnie kochasz, więc pomyśl, jaka będę szczęśliwa. O, Marku drogi, pomyśl, że ty tam przyjdiesz do mnie.

Tu umilkła, by nabrać tchu w swą chora pierś, poczem podniosła do ust jego rękę:

— Marku...

— Co, droga!

— Nie płacz po mnie, i pamiętaj, że ty tam przyjdiesz do mnie. Krótko żyłam, ale Bóg dał mi duszę twoją. Więc chcę powiedzieć Chrystusowi, że choć umarłam, i choć patrzales na śmierć moją, i choć zostałeś w żalu, jednak nie bluźniłeś przeciw Jego woli i milujesz Go zawsze. A ty Go będziesz miłował i zniesiesz cierpliwie śmierć moją?... Bo wówczas On nas połączy, a ja cię Kocham i chcę być z tobą...

Tu znów zbrakło jej oddechu, i ledwie dosłyszonym głosem skończyła:

— Przyrzecz mi to, Marku!...

Winicyusz objął ją drżącymi rękoma i odrzekł:

— Na twoją świętą głowę!... przyrzekam!...

Wówczas w smutnem świetle księżyca rozjaśniła się jej twarz. Raz jeszcze podniosła do ust jego rękę i szepnęła:

— Jam żona twoja!...

Za murem, pretoryanie grający w «scriptae duodecim», podnieśli głośniejszą sprzeczkę, lecz oni zapomnieli o więzieniu, o strażach, o ziemi całej, i czując wzajem w sobie dusze anielskie, poczęli się modlić.

ROZDZIAŁ LXI.

Przez trzy dni, a raczej trzy noce, nie nie mąciło im spokoju. Gdy zwykle zajęcia więzienne, polegające na oddzielaniu zmarłych od żywych i ciężko chorych od zdrowszych, zostały ukończone, i gdy znużeni strażnicy pokładli się spać na korytarzach, Winicyusz wchodził do podziemia, w którym była Ligia, i pozostawał w niem dopóty, dopóki brzask nie zajrzał przez kraty okna. Ona składała mu głowę na piersiach, i rozmawiali cichymi głosami o miłości i o śmierci. Oboje mimowoli, w myślach i rozmowach, nawet w pragnieniach i nadziejach, oddalali się coraz bardziej od życia i tracili jego poczucie. Oboje byli, jak ludzie, którzy, odpłynawszy okrętem od lądu, nie widzą już brzegu i pograżają się zwolna w nieskończoność. Oboje zmieniali się stopniowo w duchy smutne, rozmilowane w sobie i w Chrystusie i gotowe odlecieć. Czasem tylko w jego sercu zrywał się

jeszcze ból, jak wicher, czasem blysnęła, jak błyskawica, nadzieja, zrodzona z miłości i wiary w miłosierdzie Ukrzyżowanego Boga, lecz codzień więcej i on odrywał się od ziemi, a oddawał się śmierci. Rankiem, gdy wychodził z więzienia, patrzył już na świat, na miasto, na znajomych i na sprawy życiowe, jak przez sen. Wszystko wydawało mu się obcem, odległym, czczem i znikomem. Przestała go przerażać nawet groza mąk, miał bowiem poczucie, że to jest rzecz, przez którą można przejść jakby w zamyśleniu, z oczyma utkwionemi w coś innego. Obojgu zdawało się, że poczyna ich już ogarniać wieczność. Rozmawiali o miłości, o tem, jak będą miłowali się i żyli razem, ale jedynie z tamtej strony grobu, i jeśli czasem myśl ich zwracała się jeszcze ku rzeczom ziemskim, to tylko jak myśl ludzi, którzy, gotując się w wielką drogę, rozmawiają o przygotowaniach podróży. Zresztą otaczała ich cisza taka, jaka otacza dwie kolumny, stojące gdzieś na pustkowiu i zapomniane. Chodziło im już tylko o to, by Chrystus ich nie rozdzielił; a gdy każda chwila wznagała w nich tę pewność, rozkochali się w Nim, jak w ogniwie, które ich miało połączyć, jak w nieskończonem szczęściu i w nieskończonym spokoju. Na ziemi jeszcze opadał z nich proch ziemi. Dusze stały się w nich

czyste, jak Izy. Pod grozą śmierci, wśród nędzy i cierpień, na barlogu więziennym poczęło się dla nich niebo, albowiem ona brała go za rękę i prowadziła, jakby już zbawiona i święta, do wieczystego źródła życia.

A Petroniusz zdumiewał się, widząc w twarzy Winicyusza coraz większy spokój i jakieś dziwne blaski, których nie widywał dawniej. Chwilami nawet rodziły się w jego umyśle przypuszczenia, że Winicyusz znalazł jakąś drogę ratunku, i było mu przykro, że go w swe nadzieje nie wtajemnicza.

Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekł mu:

— Teraz ty wyglądasz inaczej, więc nie czyni przede mną tajemnicy, bo chcę i mogę ci być pomocnym: czy ułożyłeś co?

— Ułożyłem, — odpowiedział Winicyusz — ale ty nie możesz mi być już pomocny. Oto po jej śmierci wyznam, że jestem chrześcijaninem, i pójdę za nią.

— Więc nie masz nadziei?

— Owszem, mam. Chrystus mi ją odda, i nie rozłączę się z nią już nigdy.

Petroniusz począł chodzić po atrium z wyrazem rozczarowania i zniecierpliwienia w twarzy, poczem rzekł:

— Na to nie potrzeba waszego Chrystusa,

albowiem tę samą usługę może ci oddać nasz Thanatos ¹⁾.

A Winicyusz uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Nie, drogi, ale ty tego nie chcesz zrozumieć.

— Nie chcę i nie mogę — odpowiedział Petroniusz. — Nie czas na rozprawy, ale pamiętasz, coś mówił, gdy nam się nie udało wyrwać jej z Tulianum? Ja straciłem wszelką nadzieję, a tyś rzekł, gdyśmy wrócili do domu: «A ja wierzę, że Chrystus może mi ją wrócić». Niechże ci ją wróci. Gdy rzucę kosztowną czarę w morze, nie potrafi oddać mi jej żaden z naszych bogów, ale jeśli i wasz nie lepszy, to nie wiem, dla czego bym miał go czcić więcej od dawnych.

— On też mi ją odda — odrzekł Winicyusz.

Petroniusz wzruszył ramionami.

— Czy wiesz, — zapytał — że chrześcijanami mają jutro oświecić ogrody Cezara?

— Jutro? — powtórzył Winicyusz.

I wobec blizkiej strasznej rzeczywistości serce zadrgało w nim jednak bólem i przerażeniem. Pomyślał, że to może ostatnia noc, którą będzie mógł spędzić z Ligią, więc, pożegnawszy Petroniusza, udał się śpiesznie do dozorcę «putikół» po swoją tessere.

¹⁾ Geniusz śmierci.

Lecz tu czekał go zawód, dozorca albowiem nie chciał mu dać znaku.

— Wybacz, panie — rzekł. — Uczynilem dla ciebie com mógł, ale nie mogę narażać życia. Dziś w nocy mają wyprowadzić chrześcijan do ogrodów Cezara. W więzieniu pełno będzie żołnierzy i urzędników. Gdyby cię poznano, zginąłbym ja i moje dzieci.

Winicyusz zrozumiał, że próżno byłoby nalegać. Błysnęła mu jednak nadzieja, że żołnierze, którzy widywali go poprzednio, puszcza go może i bez znaku, więc za nadejściem nocy, przebrawszy się jak zwykle w zgrzebną tunikę i, obwiązawszy szmatą głowę, udał się do bram więzienia.

Lecz dnia tego sprawdzano znaki z większą jeszcze ścisłością, niż zwykle, a co większa, setnik Scaevinus, srogi i oddany duszą i ciałem Cezarowi żołnierz, poznał Winicyusza.

Lecz widocznie w jego okutej w żelazo piersi tliły się jakieś iskry litości dla ludzkiej niedoli, albowiem, zamiast uderzyć włócznią w tarczę na znak alarmu, odwiódł Winicyusza na bok i rzekł mu:

— Panie, wracaj do siebie. Poznałem cię, ale będę milczał, nie chcąc cię gubić. Puścić cię nie mogę, ale wracaj, i niech bogowie ześlą ci ukojenie.

— Puścić mnie nie możesz, — rzekł Winicyusz — ale pozwól mi tu zostać i widzieć tych, których będą wyprowadzali.

— Mój rozkaz nie sprzeciwia się temu — odpowiedział Scaevinus.

Winicyusz stanął przed bramą i czekał, póki nie poczną wyprowadzać skazańców. Wreszcie około północy rozwarły się szeroko bramy więzienia, i ukazały się całe szeregi więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci, otoczone przez zbrojne oddziały pretoryanów. Noc była jasna bardzo — i pełnia, tak, że można było odróżnić nie tylko postaci, ale nawet i twarze nieszczęsnych. Szli parami, długim, posępnym korowodem, wśród ciszy, przerywanej tylko brzękiem żołnierskich zbroi. Prowadzono ich tyłu, że zdawało się, iż wszystkie piwnice pozostaną próżne.

Przy końcu orszaku Winicyusz dostrzegł wyraźnie Glauka lekarza, lecz ani Ligii, ani Ursusa nie było między skazanymi.

ROZDZIAŁ LXII.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy, przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe, wspaniałe widowisko. Okrzyki: «Semaxii! Sarmentitii!» — rozlegały się na Via Tecta, na moście Emiliusza i z drugiej strony Tybru, na drodze Tryumfalnej, około cyrku Nerona i aż hen, po wzgórze Watykańskie. Widywano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tygellin, chcąc skończyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia, tak, że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy, po przebyciu bram ogrodowych, oniemiały ze zdziwienia. Wszystkie

aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poleteków, obsianych kwieciami, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że, gdy bliższe wydawały się jak maszty naw; najdalsze przedstawiały się oczom, jak kolorowe, pozatykane w ziemię, tyrsy lub dzidy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedynczymi masztami, w miarę jak zaciekawiały je postaci, wiek lub pleć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytania: «Zali mogło być tylu winnych? lub jak mogły podpalić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?» I zdumienie przechodziło z wolna w niepokój.

Tymczasem zapadł mrok, i na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonąca pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych

częściach ogrodów, na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

Ukryta pod kwiatami i polana smołą słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który, wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami boleści. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiazdzistemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napelnily się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: «Mamo! mamol!» — i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzekrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżniały drżące liście na drzewach, i uczyniło się widno, jak w dzień. Śwad spalonych ciał napelnil ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęły sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice myrrę i aloes. Między tłumem ozwały się tu i owdzie okrzyki,

niewiadomo czy współczucia, czy upojenia i radości, i wzmagaly się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palcem technieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerniałe twarze, i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazala go rozniecić.

Lecz jeszcze na początku widowiska zjawił się wśród ludu Cezar na wspaniałej cyrkowej kwadrydze, zaprzężonej w cztery białe rumaki, przybrany w ubiór woźnicy i barwę stronnictwa Zielonych, do których i on, i jego dwór należał. Szły za nim inne wozy, pełne dworzan w świetnych strojach, senatorów, kapłanów i nagich bachantek z wieńcami na głowach i dzbanami wina w ręku, w części spitych i wydających dzikie okrzyki. Obok nich muzycy, poprzebie-rani za faunów i satyrów, grali na cytrach, formingach, piszczalkach i rogach. Na innych wozach jechały matrony i dziewice rzymskie, również pijane i wpół nagie. Obok kwadryg skoczkowie potrząsali przybrane we wstażki tyrsy; inni bili w bębenki, inni sypali kwiaty. Cały ów świetny orszak posuwał się, wrzeszcząc: «Evoe!» najszerszą ogrodową drogą wśród dymów i wśród ludzkich pochodni. Cezar, mając przy sobie Tygellina i Chiloną, którego przera-

żeniem pragnął się zabawić, sam powodował końmi i, jadąc noga za nogą, spoglądał na płonące ciała, a zarazem słuchał okrzyków ludu. Stojąc na wysokiej złotej kwadrydze, otoczony falą ludzką, która kłaniała mu się do stóp, w blaskach ognia, w złotym wieńcu cyrkowego zwycięzcy, przerastał głową dworzan, tłumy, i wydawał się być olbrzymem. Potworne jego ramiona, wyciągnięte dla trzymania lejców, zdawały się błogosławić lud. W twarzy i przymrużonych oczach miał uśmiech, i jaśniał nad ludźmi, jak słońce, albo jak bóstwo, straszne, ale wspaniałe i potężne.

Chwilami zatrzymywał się, by przypatrzeć się dokładniej, czy to jakiej dziewczycy, której lono poczynalo skwierczeć w płomieniu, czy wykrzywionej przez konwulsje twarzy dziecka, i znów jechał dalej, wiodąc za sobą szalony i rozhułkany orszak. Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ścigał złote lejce i rozmawiał z Tygellinem. Nakoniec, dojechawszy do wielkiej fontanny, stojącej w pośrodku dwóch krzyżujących się ulic, wysiadł z kwadrygi i, skinąwszy na towarzyszków, zmieszał się z tłumem.

Przywitano go okrzykiem i oklaskami. Bachantki, nimfy, senatorowie, augustianie, kapłani, fauny, satyry i żołnierze otoczyli go wraz

szalonem kołem, on zaś, mając po jednej stronie Tygellina, po drugiej Chilona, obchodził fontannę, naokół której płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarami, lub drwiąc ze starego Greka, w którego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Nakoniec stanęli przed wysokim masztem, przybranym w mirty i okręconym w powój. Czerwone języki ognia dochodziły tu już do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu rozpoznać, gdyż świeże płonące gałązki przesłoniły ją dymem. Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwał dymy i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilo zwinął się nagle w kłęb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do krakania, niż do ludzkiego głosu podobny:

— Glaukos! Glaukos!...

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zbolalą i pochyłą, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił go żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce opraw-

ców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilo widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są w ołowiu, i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go z nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepelnia się w nim, coś się zrywa, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia, i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenne, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś strasznego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się i, wyciągnąwszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem:

— Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!!

Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obec-

nych, i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam!!!

Chilo rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierzę, i, nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły mirtową koronę na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał całym wielkim, jaskrawym światłem.

Lecz Chilo podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż augustyanom wydało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu niezwykłym blaskiem, ze zmarszczonego czoła było uniesienie: niedołężny przed chwilą Grek wyglądał teraz jak jakiś kapłan, który, nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznane.

— Co z nim jest? oszalał! — ozwało się kilka głosów.

On zaś odwrócił się ku tłumom i, wyciągnąwszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nie tylko augustianie, ale i tłuszcza mogła głos jego dosłyszeć:

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysię-

gam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!!!!...

I wskazał palcem na Nerona.

Nastąpiła chwila ciszy. Dworzanie zdrtwieli. Chilo stał ciągle z wyciągniętym, drżącym ramieniem i palcem zwróconym ku Cezarowi. Nagle uczyniło się zamieszanie. Lud naksztaltali, pchniętej nagłym wiehrem, rzucił się ku starcowi, chcąc mu się lepiej przypatrzeć. Tu i owdzie ozwały się krzyki: «Trzymaj!» gdzie indziej: «Biada nam!» W tłumie rozległ się świst i wrzaski: «Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!» Bezład wzrastał z każdą chwilą. Bachtanki, wrzeszcząc w niebogłosy, poczęły się chronić na wozy. Nagle kilka przepalonych słupów przewróciło się, rozsypując wokół skry i powiększając zamęt. Ślepa, stłoczona fala ludu porwała Chilona i uniosła go w głąb ogrodu.

Wszędzie też słupy poczęły już przepalać się i padać wpoprzek ulic, napelniając aleje dymem, skrami, śwędem drzewa i śwędem ludzkiego tłuszczu. Gasły światła dalsze i bliższe. W ogrodach pociemniało. Tłumy zaniepokojone, posępne i trwożne cisnęły się do bram. Wieść o tem, co zaszło, przechodziła z ust do ust, zmieniona i powiększona. Jedni opowiadali, że Cezar zemdlął, drudzy, że sam wyznał, iż kazał podpalić Rzym, trzeci, że zachorował ciężko, inni

wreszcie, że wywieziono go, jak martwego, na wozie. Tu i owdzie odzywały się głosy współczucia dla chrześcijan: «Nie oni spalili Rzym, poco więc tyle krwi, mąk i niesprawiedliwości? Czy bogowie nie będą się mścili za niewinnych, i jakież «piacula» zdolają ich znów przebłagać?» Słowa «innocentia corpora» powtarzały się coraz częściej. Kobiety litowały się głośno nad dziećmi, których tyle rzucono dzikim zwierzętom, poprzybijano na krzyże lub spalono w tych przeklętych ogrodach. I wreszcie politowanie zmieniało się w zlorzeczenia Cezarowi i Tygellinowi. Lecz byli i tacy, którzy, zatrzymując się nagle, zadawali sobie lub innym pytanie: «Cóż to jest za bóstwo, które daje taką siłę wobec mąk i śmierci?» I powracali do domów w zamysleniu...

Chilo błakał się zaś jeszcze po ogrodach, nie wiedząc, dokąd iść i gdzie się obrócić. Teraz uczuł się znów bezsilnym, niedoleżnym i chorym starcem. Chwilami potykał się o niedopalone ciała, potraçał głownie, które wysyłały w ślad za nim roje iskier, chwilami siadał, spoglądając naokół bezprzytomnym wzrokiem. Ogrody stały się już prawie całkiem ciemne; między drzewami poruszał się tylko błądy księżyc, rozświecając niepewnem światłem aleje, zczerniałe leżące wpoprzek słupy i zmienione w bez-

kształtne bryły niedogarki ofiar. Lecz staremu Grekowi wydało się, że w księżycu widzi twarz Glauka, i że oczy jego patrzą nań jeszcze ciągle, i chował się przed światłem. Wreszcie jednak wyszedł z cienia i mimowoli, jakby party jakąś nieznaną siłą, począł kierować się ku fontannie, przy której oddał ducha Glaukos.

Wtem jakaś ręka dotknęła jego ramienia.

Starzec odwrócił się i, widząc przed sobą nieznaną postać, zawołał z przerażeniem:

— Kto tam! Ktoś ty jest?

— Apostoł, Paweł z Tarsu.

— Jam przeklęty!... Czego chcesz?

A Apostoł odrzekł:

— Chcę cię zbawić.

Chilo oparł się o drzewo.

Nogi chwiały się pod nim i ramiona zwisły mu wzdłuż ciała.

— Dla mnie nie masz zbawienia! — rzekł glucho.

— Zali słyszałeś, że Bóg przebaczył żalującemu lotrowi na krzyżu? — zapytał Paweł.

— Zali wiesz, com ja uczynił?

— Widziałem boleść twoją i słyszałem, jakoś dał świadectwo prawdzie.

— O Pani!...

— I gdy sługa Chrystusów przebaczył ci

w godzinie męki i śmierci, jakżeby ci Chrystus nie miał przebaczyć?

A Chilo chwycił rękoma głowę, jak w obłąkaniu:

— Przebaczenie! dla mnie przebaczenie!

— Bóg nasz to Bóg Miłosierdzia — odpowiedział Apostoł.

— Dla mnie! — powtórzył Chilo.

I począł jęczeć, jak człowiek, któremu zbrakło sił, by mógł opanować ból i mękę. Paweł zaś rzekł:

— Oprzyj się na mnie i pójdz ze mną.

I, wziawszy go, szedł z nim ku krzyżującym się ulicom, kierując się głosem fontanny, która zdawała się płakać wśród nocnej ciszy nad ciałami pomęczonych.

— Bóg nasz to Bóg Miłosierdzia — powtórzył Apostoł. — Gdybyś stanął nad morzem i rzucił w nie kamienie, czybyś mógł zarzucić nimi głębinę morską? A ja ci mówię, że miłosierdzie Chrystusa jest jako morze i że grzechy i winy ludzkie potoną w niem, jako kamienie w otchłani. I mówię ci, że jest jako niebo, które pokrywa góry, lądy i morza, albowiem jest wszędzie i nie masz mu granicy ni końca. Tyś cierpiał u słupa Glauka, i Chrystus widział twoje cierpienie. Tyś rzekł, nie bacząc na to, co jutro spotkać może: «Ten jest podpalaczem!» — i Chry-

stus spamiętał słowa twoje. Bowiem minęła twoja złość i kłamstwo, a w sercu został się jeno żal nieprzebrany... Chodź ze mną i słuchaj, co ci powiadam: otom ja także nienawidził Go i prześladował Jego wybranych. Jam Go nie chciał i nie wierzył w Niego, póki mi się nie ukazał i nie powołał mnie. I odtąd On jest miłością moją. A teraz ciebie nawiedził zgryzotą, trwogą i boleścią, aby cię powołać ku sobie. Tyś Go nienawidził, a On kochał cię. Tyś wydawał na męki Jego wyznawców, a On chce ci przebaczyć i zbawić cię.

Piersią nędzarza poczęło wstrząsać lkanie ogromne, od którego rozdzierała się w nim dusza do dna, a Paweł ogarniał go, opanowywał i wiódł, jak żołnierz wiedzie jeńca.

I po chwili znów mówić począł:

— Pójdź za mną, a ja cię powiodę do Niego. Dla jakiejż innej przyczyny przychodziłbym do ciebie? Ale oto On rozkazał mi zbierać dusze ludzkie w imię miłości, więc spełniam służbę Jego. Ty mniemasz, żeś przeklęty, a ja ci mówię: uwierz w Niego, a czeka cię zbawienie. Ty myślisz, żeś znienawidzon, a ja ci powtarzam, że On miłuje cię. Patrz na mnie! Gdym Jego nie miał, nic nie miałem krom złości, która mieszkala w sercu mojem, a teraz Jego miłość starczy mi za ojca i matkę, za bogactwa i kró-

lowanie. W Nim jednym ucieczka, On jeden policzy twój żal, wejrzy na nędzę twoją, zdejmie z ciebie trwogę i podniesie cię do siebie.

Tak mówiąc, przywiódł go do fontanny, której srebrny strumień polyskiwał zdala w miesięcznym świetle. Naokół była cisza i pustka, albowiem służba niewolnicza uprzątnęła już tu zwęglone słupy i ciała męczenników.

Chilo rzucił się z jękiem na kolana i, ukrywszy twarz w dłoniach, pozostał bez ruchu, Paweł zaś podniósł twarz ku gwiazdom i począł się modlić.

— Panie, spojrzij na tego nędzarza, na żal jego, na lzy i mękę! Panie Miłosierdzia, któryś przelał krew za winy nasze, przez Twoją mękę, przez śmierć i zmartwychwstanie odpuść mu!

Poczem umilkł, lecz długo jeszcze patrzył w gwiazdy i modlił się.

A wtem z pod jego stóp ozwało się podobne do jęku wołanie:

— Chryste!... Chryste!... odpuść mi!...

Naówczas Paweł zbliżył się do fontanny i, nabrawszy wody w dłonie, wrócił do klęczącego nędzarza:

— Chilonie! oto cię chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha! amen!/?

Chilo podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecał pełnem światłem jego zbielale włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub wykutą z kamienia twarz. Chwile płynęły jedna za drugą; z wielkich ptaszarni, umieszczonych w grodach Domicyi, poczęło dochodzić pianie kogutów, a on klęczał jeszcze, podobny do nagrobego posagu.

Wreszcie ocknął się, wstał i, zwróciwszy się do Apostoła, zapytał:

— Co mam czynić przed śmiercią, panie?

Paweł również rozbudził się z zadumy nad tą niezmierną potęgą, której nie mogły oprzeć się nawet takie duchy, jak tego Greka, i odrzekł:

— Ufaj i daj świadectwo prawdzie!

Poczem wyszli razem. U bram ogrodu Apostoł pobłogosławił raz jeszcze starca, i rozstali się, albowiem wymagał tego sam Chilo, przewidując, że po tem, co zaszło, Cezar i Tygellinus każą go ścigać.

Jakoż nie mylił się. Wróciwszy do siebie, zastał już dom otoczony przez pretoryanów, którzy porwali go i pod wodzą Scaevinusa zawieźli na Palatyn.

Cezar udał się już był na spoczynek, lecz

Tygellinus czekał, i ujrzawszy nieszczęsnego Greka, powitał go z twarzą spokojną, ale złowrogą.

— Popelnileś zbrodnię obrazy majestatu, — rzekł mu — i kara cię nie minie. Lecz jeśli jutro oświadczysz w amfiteatrze, żeś był pijany i szalony, i że sprawcami pożaru są chrześcijanie, kara twoja skończy się na chłóście i wygnaniu.

— Nie mogę, panie! — odpowiedział cicho Chilo.

A Tygellin zbliżył się do niego krokiem powolnym i głosem również przyciszonym, ale strasznym, zapytał:

— Jak to nie możesz, psie grecki? Zaliś nie był pijany i zaliś nie rozumiesz, co cię czeka? Spójrz tam!

I to rzekłszy, wskazał na kąt atrium, w którym obok długiej drewnianej lawy stało w mroku czterech nieruchomych niewolników trackich z powrozami i obcęgami w ręku.

A Chilo odrzekł:

— Nie mogę, panie!

Tygellina poczęła ogarniać wściekłość, lecz pohamował się jeszcze.

— Widziałeś, — zapytał — jak umierają chrześcijanie? Czy chcesz tak umrzeć?

Starzec wzniósł w górę wybladłą twarz;

czas jakiś wargi jego poruszały się cicho, poczem odrzekł:

— I ja wierzę w Chrystusa!...

Tygellin spojrział na niego ze zdumieniem:

— Psie, tyś oszalał naprawdę!

I nagle nagromadzona w jego piersi wściekłość zerwała tamę. Skoczywszy do Chilona, chwycił go obiema rękoma za brodę, zwałił na ziemię i począł deptać, powtarzając z pianą na ustach:

— Odwołasz! odwołasz!...

— Nie mogę! — odpowiedział mu z ziemi Chilo.

— Na męki z nim!

Usłyszawszy ów rozkaz, Trakowie porwali starca i położyli go na ławę, poczem, przytwierdziwszy go do niej za pomocą sznurów, poczęli cęgami ścisnąć jego wychudłe pierszczele. Lecz on, w czasie gdy go przywiązywano, całował z pokorą ich ręce, następnie zaś przymknął oczy i wydawał się jak umarły.

Żył jednak, gdy bowiem Tygellin pochylił się nad nim i raz jeszcze zapytał: «Odwołasz?» — zbielewały jego wargi poruszyły się lekko, i wyszedł z nich zaledwie dosłyszany szept:

— Nie... mogę!...

Tygellin kazał przerwać męki i jął chodzić

po atrium z twarzą zmienioną przez gniew, lecz zarazem bezradną. Nakoniec widocznie przyszła mu do głowy jakaś nowa myśl, albowiem zwrócił się do Traków i rzekł:

— Wyrwać mu język.

ROZDZIAŁ LXIII.

Dramat «Aureolus» dawano zwykle w teatrach lub amfiteatrach tak urządzonych, iż mogły otwierać się i tworzyć jakby dwie odrębne sceny. Lecz po widowisku w ogrodach Cezara zaniechano zwykłego sposobu, szło bowiem o to, by jak największa liczba ludzi mogła patrzeć na śmierć przybitego do krzyża niewolnika, którego w dramacie pożerał niedźwiedź. W teatrach rolę niedźwiedzia grywał obszyty w skórę aktor, tym razem jednak przedstawienie miało być «prawdziwe». Był to nowy pomysł Tygellina. Cezar początkowo zapowiedział, że nie przybędzie, lecz z namowy faworyta zmienił zdanie. Tygellinus wytłómaczył mu, że po tem, co zaszło w ogrodach, tembardziej powinien pokazać się ludowi, i zarazem zaręczył, że ukrzyżowany niewolnik nie zelży go już, tak, jak uczynił to Kryspus. Lud był już nieco przesycony i zmęczony przelewem krwi, zapo-

wiedziano mu więc nowe rozdawnictwo biletów loteryjnych i podarków, a zarazem ucztę wieczorną, przedstawienie bowiem miało się odbywać wieczorem, w rzeźnię oświetlonym amfiteatrze.

Jakoż o zmroku cały budynek napelnił się szczelnie; augustianie z Tygellinem na czele przybyli wszyscy, nietyle dla samego widowiska, jak dla okazania po ostatnim zejściu Cezarowi swej wierności i porozmawiania o Chilonie, o którym mówił cały Rzym.

Opowiadano więc sobie na ucho, że Cezar, wróciwszy z ogrodów, wpadł we wściekłość i nie mógł zasnąć, że opadały go strachy i dziwne widzenia, skutkiem których nazajutrz zapowiedział swój prędko wyjazd do Achai. Inni wszelako przeczyli temu, twierdząc, że teraz okaże się tembardziej nieubлагanym względem chrześcijan. Nie brakło jednak i tchórzów, którzy przewidywali, że oskarżenie, jakie Chilon rzucił w twarz Cezarowi wobec tłumów, może mieć najgorsze następstwa. Byli wreszcie i tacy, którzy przez ludzkość prosili Tygellina, by zaniechał dalszych prześladowań.

— Patrzcie, dokąd idziecie! — mówił Barkus Soranus. — Chcieliście zaspokoić zemstę ludu i wpoić w niego przekonanie, że kara spada na winnych, a skutek jest wprost przeciwny.

— Prawda! — dodał Antystyusz Werus, — wszyscy szepeczą sobie teraz, że oni niewinni. Jeśli to ma być zręczność, to Chilo miał słuszność, mówiąc, że wasze mózgi nie napelnilyby żółdziowej miseczki.

Tygellin zaś zwrócił się do nich i rzekł:

— Ludzie szepeczą sobie także, że twoja córka, Servilia, Barku Soranusie, i twoja żona, Antystyuszu, poukrywały swych niewolników chrześcijan przed sprawiedliwością Cezara.

— To nieprawda! — zawołał z niepokojem Barkus.

— Żonę moją chcą zgubić wasze rozwódki, które zazdroszczą jej cnoty! — rzekł z niemniejszym niepokojem Antystyusz Werus.

Lecz inni rozmawiali o Chilonie.

— Co mu się stało? — mówił Eprius Marcellus. — Sam ich wydawał w ręce Tygellina; z nędzarza stał się bogaczem, mógł dożyć spokojnie swych dni, mieć piękny pogrzeb i nagrobek, tymczasem, nie!! Naraz wołał stracić wszystko i zgubić się; doprawdy, chyba oszalał!

— Nie oszalał, ale został chrześcijaninem — rzekł Tygellin.

— Chyba nie może być — ozwał się Wite-liusz.

— A czy ja nie mówiłem! — wtrącił Westin-us. — Mordujcie sobie chrześcijan, ale, wie-

na białej brodzie widać było czerwony ślad, który zostawiła krew po wyrwaniu języka. Przez przezroczystą skórę nieledwie można było dojrzeć jego kości. Wydawał się też daleko starszym, niemal zgrzybiałym. Ale natomiast, niegdyś oczy jego rzucały wiecznie pełne niepokoju i złości spojrzenia, czujne oblicze jego odbijało dawniej wieczną trwogę i niepewność, teraz zaś twarz miał bolesną, ale tak słodką i pogodną, jak miewają ludzie śpiący lub umarli. Może ufności dodawała mu pamięć o lotrze na krzyżu, któremu Chrystus przebaczył, a może też mówił w duchu miłosiernemu Bogu: «Panie, kasałem, jak jadowity robak, ale oto byłem przez całe życie nędzarzem, przymierałem głodem, ludzie deptali po mnie, bili mnie i znęcali się nademną. Byłem, Panie, biedny i bardzo nieszczęśliwy, a oto teraz jeszcze położono mnie na męki i przybito na krzyż, więc Ty, Miłosierny, nie odepchniesz mnie w godzinie śmierci!» I spokój zstąpił widocznie w jego skruszone serce. Nikt nie śmiał się, było bowiem w tym ukrzyżowanym coś tak cichego, wydawał się tak starym, bezbronnym, słabym, tak wołającym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy zadawał sobie pytanie: jak można męczyć i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak konają? Tłum milczał. Między augustyanami Westinus, pochy-

lając się na prawo i na lewo, szeptał przestraszonym głosem: «Patrzcie, jak oni umierają!» Inni czekali na niedźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko skończyło się jak najprędzej.

Niedźwiedź wtoczył się wreszcie na arenę i, chwiejąc nisko schyloną głową na obie strony, spoglądał naokół z podelbą, jakby się nad czemś namyslał, lub czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż, a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu, podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się znów na przednie łapy i, siadłszy pod krzyżem, począł mruczeć, jakby i w jego zwierzęcem sercu ozwała się litość nad tym szczątkiem człowieka.

Z ust służby cyrkowej ozwały się podniecające okrzyki, lecz lud milczał. Chilon tymczasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas jakiś wodził oczyma po widowni. Nakoniec wzrok jego zatrzymał się gdzieś na najwyższych rzędach amfiteatru, piersi poczęły mu grać żywiej, i wówczas stało się coś, co wprowało w podziw i zdumienie widzów. Oto twarz zajaśniała mu uśmiechem, czoło otoczyły mu jakby promienie, oczy podniosły się przed śmiercią ku górze, a po chwili, dwie wielkie łzy, wezbrane pod powiekami, spłynęły mu zwolna po twarzy.

I umarł.

A w tem jakiś donośny, męski głos zawołał w górze pod welaryum:

— Pokój męczennikom!!

W amfiteatrze panowało głuche milczenie.

ROZDZIAŁ LXIV.

Po widowisku w ogrodach Cezaryńskich, więzienia opustoszały znacznie. Chwymano wprawdzie jeszcze i więziono ofiary, podejrzane o wyznawanie wschodniego zabobonu, ale oblawy dostarczały ich coraz mniej, zaledwie tyle, ile potrzeba było do zapelnienia następnych widowisk, które również miały się już ku końcowi. Lud, przesycony krwią, okazywał coraz większe znużenie i coraz większy niepokój z powodu niebywałego dotąd zachowywania się skazanych. Obawy przesądnego Westinusa ogarnęły tysiące dusz. W tłumach opowiadano coraz dziwniejsze rzeczy o mściwości chrześcijańskiego bóstwa. Tyfus więzienny, który rozszerzył się po mieście, powiększył powszechną bojaźń. Widziano częste pogrzeby i powtarzano sobie na ucho, że potrzebne są nowe «piacula» dla przeblagania nieznanego boga. W świątyniach składano ofiary Jowiszowi i Libitynie. Wreszcie, mimo wszelkich

usiłowań Tygellina i jego popleczników, rozszerzało się coraz bardziej mniemanie, że miasto zostało spalone z rozkazu Cezara i że chrześcijanie cierpią niewinnie.

Lecz właśnie dlatego i Nero i Tygellinus nie ustawali w prześladowaniu. Dla uspokojenia ludu wydawano nowe rozporządzenia co do rozdawnictwa zboża, wina i oliwy; ogłoszono przepisy, ułatwiające odbudowywanie domów, pełne ulg dla właścicieli, oraz inne, dotyczące szerokości ulic i materyalów, z jakich należy budować, by na przyszłość uniknąć klęski ognia. Sam Cezar bywał na posiedzeniach senatu i obradował wraz z «ojcami» nad dobrem ludu i miasta, ale natomiast ani cień łaski nie padł na skazanych. Władcy świata chodziło przede wszystkim o to, by wszczepić w lud przekonanie, że tak nieublagane kary mogą spotykać tylko winnych. W senacie żaden głos nie odzywał się również za chrześcijanami, gdyż nikt nie chciał narazić się Cezarowi, a prócz tego ludzie, sięgający wzrokiem dalej w przyszłość, twierdzili, że wobec nowej wiary, fundamenta państwa rzymskiego nie mogłyby się ostać.

Oddawano tylko ludzi konających i zmarłych rodzinom, albowiem prawo rzymskie nie mściło się nad umarłymi. Dla Winicyusza stanowiła pewną ulgę myśl, że, jeśli Ligia umrze,

wówczas on pochowa ją w grobach rodzinnych i spocznie koło niej. Nie miał już żadnej nadziei ocalenia jej od śmierci, i sam, oderwany nawpół od życia, zatopiony zupełnie w Chrystusie, nie marzył już o innem połączeniu, tylko o wiecznem. Wiara jego stała się wprost niezgłębioną, tak, że wobec niej owa wieczność wydawała mu się czemś nierównie rzeczywistszem i prawdziwszem od przejściowego istnienia, jakim żył dotąd. Serce przepełniło mu się skupionem uniesieniem. Za życia jeszcze zmienił się w istotę niemal bezcielesną, która, tęskniąc do zupełnego wyzwolenia dla siebie, pragnęła go i dla drugiej kochanej duszy. Wyobrażał sobie, że wówczas oboje z Ligią wezmą się za ręce i odejdą do nieba, gdzie Chrystus ich pobłogosławi i pozwoli im zamieszkać w świetle tak spokojnem i ogromnem, jak blask zórz. Błagał tylko Chrystusa, by oszczędził Ligii męk cyrkowych i pozwolił jej zasnąć spokojnie w więzieniu, czuł bowiem z zupełną pewnością, że i sam umrze razem z nią. Mniemał, że, wobec tego morza przelanej krwi, niewolno mu nawet spodziewać się, aby ona jedna została ocalona. Słyszał od Piotra i Pawła, że i oni także muszą umrzeć, jak męczennicy. Widok Chilona na krzyżu przekonał go, że śmierć, nawet męczennicka, może być słodką, więc życzył już sobie,

aby nadeszła dla nich obojga, jako upragniona zmiana złej, smutnej i ciężkiej doli na lepszą.

Chwilami miewał już przedsmak zagrobowego życia. Ów smutek, który unosił się nad obu ich duszami, tracił coraz bardziej dawną palącą gorycz i stopniowo zmieniał się w jakieś zaświatowe, spokojne oddanie się woli Bożej. Winicyusz płynął dawniej w trudzie przeciw prądowi, walczył i męczył się, teraz oddał się fali, wierząc, że niesie go ona w wieczną ciszę. Odgadywał też, że Ligia, również jak on, gotuje się na śmierć, że, mimo dzielących ich murów więzienia, idą już razem, i uśmiechał się do tej myśli, jak do szczęścia.

I rzeczywiście szli tak zgodnie, jakby codziennie długo dzielili się myślami. W Ligii nie było także żadnych pragnień, ni żadnej nadziei, prócz nadziei pozagrobowego życia. Śmierć przedstawiała się jej nietylko jak wyzwolenie ze strasznych murów więzienia, z rąk Cezara i Tygellina, nietylko jako zbawienie, ale jako czas ślubu z Winicyuszem. Wobec tej niezachwianej pewności wszystko inne traciło wagę. Po śmierci zaczynało się dla niej szczęście nawet i ziemskie, więc czekała jej jeszcze i tak, jak narieczona czeka chwili weselnej.

A ów niezmierny prąd wiary, który odrywał od życia i niósł po za grób tysiące tych

Pierwszych wyznawców, porwał także i Ursusa. I on długo nie chciał się zgodzić w sercu na śmierć Ligii, lecz gdy codziennie przez mury więzienia przedzierały się wieści o tem, co dzieje się w amfiteatrach i ogrodach, gdy śmierć wydawała się wspólną, nieuniknioną dołą wszystkich chrześcijan, a zarazem ich dobrem, wyższem nad wszelkie śmiertelne pojęcie o szczęściu, nie śmiał w końcu i on modlić się do Chrystusa, aby pozbawił tego szczęścia Ligię lub opóźnił je dla niej na długie lata. W swej prostacznej duszy barbarzyńcy myślał przytem, że córce wodza Ligów więcej się należy i więcej się dostanie tych niebieskich rozkoszy, niż całemu tłumowi prostaków, do których i sam należał, i że w chwale wiekuistej ona zasiędzie bliżej «Baranka», niż inni. Słyszał wprawdzie, że wobec Boga ludzie są równi, na dnie duszy tkwiło mu jednak przekonanie, że co córka wodza, i to jeszcze wodza wszystkich Ligów, to nie pierwsza lepsza niewolnica. Spodziewał się też, że Chrystus pozwoli mu jej służyć i dalej. Co do siebie, miał tylko jedno ukryte pragnienie, to jest, żeby mógł umrzeć tak, jak «Baranek», na krzyżu. Ale wydawało mu się to szczęściem tak wielkiem, że, choć wiedział, iż krzyżują w Rzymie nawet najgorszych zbrodniarzy, nie śmiał prawie modlić się o taką śmierć. My-

ślał, że pewno każą mu zginać pod zębami dzikich zwierząt, i stanowiło to jego troskę wewnętrzną. Od dziecka chował się w nieprzebytach puszczech, wśród ciągłych lowów, z których, dzięki swej nadludzkiej sile, jeszcze nim wyrósł na męża, już zasłynął między Ligami. Stanowiły one jego tak umiłowane zajęcie, że później, gdy był w Rzymie i musiał się ich wyrzec, chodził do wiwaryów i do amfiteatrów, żeby choć popatrzeć na znane i nieznane sobie zwierzęta. Widok ich budził w nim nieprzepartą chęć walki i zabijania, teraz więc obawiał się w duszy, że, gdy przyjdzie mu się spotkać z niemi w amfiteatrze, opadną go myśli mniej godne chrześcijanina, który powinien umierać pobożnie i cierpliwie. Ale polecał się i w tem Chrystusowi, mając na pociechę inne, słodsze myśli. Oto słysząc, że «Baranek» wypowiedział wojnę mocom piekielnym i złym duchom, do których wiara chrześcijańska zaliczała wszystkie bóstwa pogańskie, myślał, że w tej wojnie przyda się jednak «Barankowi» bardzo i potrafi mu się przysłużyć lepiej od innych, gdyż to także nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby dusza jego nie miała być silniejszą od dusz innych męczenników. Zresztą modlił się po całych dniach, oddawał posługi więźniom, pomagał dozorcóm i pocieszał swą królowną, która

chwilami żalowała, że w swem krótkiem życiu nie mogła spełnić tylu dobrych uczynków, ile spełniła ich słynna Thabita, o której opowiadał jej swego czasu Piotr Apostoł. Stróże, których nawet w więzieniu przejmowała obawą straszliwa siła tego olbrzyma, nie było bowiem dla niej ani pęt, ani krat dostatecznych, polubili go w końcu za jego słodycz. Nieraz, zdumieni jego pogodą, wypytywali go o jej przyczynę, on zaś opowiadał im z taką niezachwianą pewnością, jakie życie czeka go po śmierci, że słuchali go ze zdziwieniem, widząc po raz pierwszy, że do podziemi, nieprzeniknionych dla słońca, może przeniknąć szczęście. I gdy namawiał ich, by uwierzyli w «Baranka», niejednemu przechodziło przez głowę, że służba jego jest służbą niewolnika, a życie życiem nędzarza, i niejeden zamyslał się nad swą niedolą, której kresem miała być dopiero śmierć.

Tylko że śmierć przejmowała nową obawą, i nie obiecywali sobie po niej nic, tymczasem ów olbrzym ligijski i ta dziewczyna, podobna do kwiatu, rzuconego na więzienną słomę, szli ku niej z radością, jak do wrót szczęścia.

ROZDZIAŁ LXV.

Pewnego wieczoru odwiedził Petroniusza senator Scewinus i począł z nim długą rozmowę o ciężkich czasach, w których obaj żyli, i o Cezarze. Mówił zaś tak otwarcie, że Petroniusz, lubo zaprzyjaźniony z nim, począł się mieć na ostrożności. Narzekał, iż świat idzie krzywo i szalenie, i że wszystko razem wzięte, musi się skończyć jakąś klęską, straszniejszą jeszcze, niż pożar Rzymu. Mówił, że nawet augustianie są zniechęceni, że Feniusz Ruffus, drugi prefekt pretoryanów, znosi z największym przymusem ohydne rządy Tygellina, i że cały ród Seneki doprowadzony jest do ostateczności postępowaniem Cezara, tak ze starym mistrzem, jak i z Lukanem. W końcu począł nadmieniać o niezadowolaniu ludu, a nawet i pretoryanów, których znaczną część umiał sobie Feniusz Ruffus pozyskać.

— Dlaczego to mówisz? — spytał go Petroniusz.

— Przez troskliwość o Cezara — odpowiedział Scewinus. — Mam dalekiego krewnego w pretoryanach, który zwie się Scewinus, tak jak i ja, i przez niego wiem, co dzieje się w obozie... Niechęć rośnie i tam... Kaligula, widzisz, był także szalony, i patrz, co się stało! Oto znalazł się Cassius Cherea... Straszny to był uczynek, i zapewne nie masz między nami nikogo, ktoby go pochwalił, a jednakże Cherea uwolnił świat od potwora.

— Czyli — odrzekł Petroniusz — mówisz tak: «Ja Cherei nie chwale, ale to był doskonały człowiek, i oby bogowie dali nam takich jak najwięcej».

Lecz Scewinus zmienił rozmowę i począł nie spodzianie wychwalać Pisona. Sławił jego ród, jego szlachetność, jego przywiązanie do żony, a wreszcie rozum, spokój i dziwny dar jednania sobie ludzi.

— Cezar jest bezdzietny, — rzekł — i wszyscy widzą następcę w Pisonie. Niewątpliwie też każdy pomógłby mu z całej duszy do objęcia władzy. Kocha go Feniusz Ruffus, ród Anneuszów jest mu całkiem oddany. Plautius Lateranus i Tulliusz Senecio skończyliby za niego w ogniu. A toż samo Natalis, i Subryusz Flawiusz, i Sul-

picyusz Asper, i Atraniusz Quinctianus, i nawet Westinus.

— Z tego ostatniego niewiele Pisonowi przyjdzie — odrzekł Petroniusz. — Westinus boi się własnego cienia.

— Westinus boi się snów i duchów, — odrzekł Scewinus — ale to człowiek dzielny, którego słusznie chcą zamianować konsulem. Że zaś w duszy przeciwny jest prześladowaniu chrześcijan, tego nie powinienes mu brać za złe, albowiem i tobie zależy na tem, by te szaleństwa ustaly.

— Nie mnie, ale Winicyuszowi — rzekł Petroniusz. — Ze względu na Winicyusza, chciałbym ocalić jedną dziewczynę, ale nie mogę, bom wypadł z łask Ahenobarba.

— Jak to? Czy nie spostrzegasz, że Cezar znowu zbliża się do ciebie i poczyną z tobą rozmawiać? I powiem ci, dlaczego. Oto wybiera się znów do Achai, gdzie ma śpiewać pieśni greckie własnego układu. Pali się do tej podróży, ale zarazem drży na myśl o szyderczem usposobieniu Greków. Wyobraża sobie, że może go spotkać albo największy tryumf, albo największy upadek. Potrzebuje dobrej rady, a wie, że lepszej od ciebie nikt mu nie może udzielić. To powód, dla którego wracasz do łask.

— Lukan mógłby mnie zastąpić,

— Miedzianobrody nienawidzi go i zapisał mu śmierć w duszy. Szuka tylko pozoru, bo on zawsze szuka pozorów. Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć.

— Na Kastora! — rzekł Petroniusz. — Być może. Ale miałbym jeszcze jeden sposób przedkierowania do lask.

— Jaki?

— Oto powtórzyć Miedzianobrodemu to, coś przed chwilą do mnie mówił.

— Ja nic nie powiedziałem — zawołał z niepokojem Scewinus.

Petroniusz zaś położył mu rękę na ramieniu:

— Nazwałeś Cezara szaleńcem, przewidywałeś następstwo Pisona i powiedziałeś: «Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć». Z czem to chcecie się śpieszyć, carissime?

Scewinus zbladł, i przez chwilę patrzali sobie w oczy.

— Nie powtórzysz!!

— Na biedra Kiprydy! Jak ty mnie znasz dobrze! Nie! nie powtórzę. Nic nie słyszałem, ale też i nie chcę nic słyszeć... Rozumiesz! Życie jest za krótkie, by warto było coś przedsięwziąć. Proszę cię tylko, byś odwiedził dziś Tygellina i rozmawiał z nim równie długo jak ze mną, o czem chcesz!

— Dlaczego?

— Dlatego, abym, jeśli mi kiedyś Tygellin powie: «Scewinus był u ciebie», mógł mu odpowiedzieć: «Tego samego dnia był także i u ciebie».

Scewinus, słysząc to, złamał laskę z kości słoniowej, którą miał w ręku i odrzekł:

— Niech zły urok spadnie na tę laskę. Będę dziś u Tygellina, a potem na uczcie u Nerwy. Wszakże będziesz i ty? W każdym razie, do widzenia pojutrze w amfiteatrze, gdzie wystąpią ostatki chrześcijan!... Do widzenia!

— Pojutrze! — powtórzył, zostawszy sam, Petroniusz. — Niema zatem czasu do stracenia. Ahenobarbus potrzebuje mnie istotnie w Achai — więc może będzie się liczył ze mną.

I postanowił spróbować ostatniego środka.

Jakoż na uczcie u Nerwy Cezar sam zażądał, by Petroniusz spoczął naprzeciw niego, chciał bowiem rozmawiać z nim o Achai i o miastach, w których mógłby z widokami największego powodzenia wystąpić. Chodziło mu najbardziej o Ateńczyków, których się bał. Inni augustianie słuchali tej rozmowy ze skupieniem, aby, pochwytawszy okruszyny zdań Petroniusza, podawać je później za swoje własne.

— Zdaje mi się, że dotąd nie żył — rzekł Nero — i że narodzi się dopiero w Grecyi.

— Narodzisz się dla nowej sławy i nieśmiertelności — odrzekł Petroniusz.

— Ufam, że tak się stanie i że Apollo nie okaże się zazdrosnym. Jeśli wrócę z tryumfem, ofiaruję mu hekatombę, jakiej żaden bóg nie miał dotąd.

Scewinus począł powtarzać wiersz Horacyusza:

»Sic te diva potens Cypri,
sic fratres Helenae, lucida sidera,
ventorumque regat Pater...«¹⁾.

— Okręt stoi już w Neapolis — rzekł Cezar. — Chciałbym wyjechać choćby jutro.

Na to Petroniusz podniósł się i, patrząc wprost w oczy Neronu, rzekł:

— Pozwolisz, boski, że wpierw wyprawię ucztę weselną, na którą ciebie przed innymi zaproszę.

— Ucztę weselną? jaką? — spytał Neron.

— Winicyusza z córką króla Ligów, a twoją zakładniczką. Ona wprawdzie jest obecnie w więzieniu, ale naprzód, jako zakładniczka, nie może być więziona, a powtóre, sam zezwoliłeś Winicyuszowi poślubić ją, że zaś wyroki twoje, jak wyroki Zeusa, są niecofnione, przeto każesz ją wypuścić z więzienia, a ja oddam ją oblubieńcowi.

¹⁾ Niech cię prowadzi potężna bogini Cypru i bracia Heleny, gwiazdy świetne, i Ojciec wiatrów...

Zimna krew i spokojna pewność siebie, z jaką mówił Petroniusz, stropiły Neronu, który tropił się zawsze, ilekroć ktoś mówił do niego w ten sposób.

— Wiem — odrzekł, spuszczać oczy. — Myślałem o niej i o tym olbrzymie, który zadusił Krotona.

— W takim razie oboje są ocaleni — odpowiedział spokojnie Petroniusz.

Lecz Tygellinus przyszedł w pomoc swemu panu:

— Ona jest w więzieniu z woli Cezara, sam zaś rzekłeś, Petroniuszu, że wyroki jego są niecofnione.

Wszyscy obecni, znając historię Winicyusza i Ligii, wiedzieli doskonale, o co chodzi, więc umilkli zaciekawieni, jak skończy się rozmowa.

— Ona jest w więzieniu przez twoją pomyłkę i przez twoją nieznajomość prawa narodów, wbrew woli Cezara — odrzekł z naciskiem Petroniusz. — Jesteś, Tygellinie, naiwnym człowiekiem, ale przecie i ty nie będziesz twierdził, że ona podpałiła Rzym, bo zresztą, gdybyś tak nawet twierdził, Cezar by ci nie uwierzył.

Lecz Nero ochłonął już i począł przymrużać swe oczy krótkowidza z wyrazem nieopisanej złośliwości.

— Petroniusz ma słuszość — rzekł po chwili.

Tygellinus spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Petroniusz ma słuszość — powtórzył Nero. — Jutro otworzą jej bramy więzienia, a o uczcie weselnej pomówimy pojutrze, w amfiteatrze.

— Przegrałem znowu — pomyślał Petroniusz.

I, wróciwszy do domu, był już tak pewien, że nadszedł kres życia Ligii, iż nazajutrz wysłał do amfiteatru zaufanego wyzwolenca, aby ułożył się z przełożonym spoliarium o wydanie jej ciała, chciał bowiem oddać je Winicyuszowi.

ROZDZIAŁ LXVI.

Za czasów Nerona weszły w zwyczaj, rzadkie dawniej i wyjątkowo tylko dawane, przedstawienia wieczorne, tak w cyrku, jak i w amfiteatrach. Augustyanie lubili je, często bowiem po nich następowały uczty i pijatyki, trwające aż do rana. Jakkolwiek lud przesycony był już przelewem krwi, jednakże, gdy rozeszła się wieść, że nadchodzi koniec igrzysk, i że ostatni chrześcijanie mają umrzeć na wieczornem widowisku, nieprzeliczone tłumy ściągnęły do amfiteatru. Augustyanie stawili się, jak jeden człowiek, domyślali się bowiem, że nie będzie to zwykłe przedstawienie, i że Cezar postanowił wyprawić sobie tragedję z boleści Winicyusza. Tygellin zachował tajemnicę, jaki rodzaj męki przeznaczony był dla narzeczonej młodego trybuna, ale to podniecało tylko powszechną ciekawość. Ci, którzy widywali niegdyś Ligję u Plaucyuszów, opowiadali teraz cuda o jej piękności. Innych

zajmowało przedewszystkiem pytanie: czy istotnie ujrzą ją dziś na arenie, wielu bowiem z pomiędzy tych, którzy słyszeli odpowiedź, jaką Cezar dał Petroniuszowi u Nerwy, tłómaczyło ją sobie podwójnie. Niektórzy przypuszczali wprost, że Nero odda lub może już oddał dziewczę Winicyuszowi; przypominano sobie, że była zakładniczką, której wolno było zatem czcić takie bóstwa, jakie jej się podobały, i której prawo narodów nie pozwalało karać.

Niepewność, oczekiwanie i zaciekawienie opañowały wszystkich widzów. Cezar przybył wcześniej, niż zwykle, i wraz z jego przybyciem poczęto znów sobie szeptać, że jednak nastąpi zapewne coś nadzwyczajnego, gdyż Neronowi, prócz Tygellina i Watyniusza, towarzyszył Kasjusz, centuryon olbrzymiej postawy i olbrzymiej sily, którego Cezar brał z sobą tylko wówczas, gdy chciał mieć przy boku obrońcę, naprzykład gdy przychodziła mu ochota do nocnych wypraw na Suburę, gdzie urządzał sobie zabawę, zwaną «sagatio», polegającą na podrzucaniu w górę na wojskowym płaszczu napotykanym po drodze dziewcząt. Spostrzeżono także, że w samym amfiteatrze zostały przedsięwzięte pewne środki ostrożności. Straże pretoryańskie powiększono, komendę zaś nad nimi miał nie centuryon, ale trybun, Subryusz Flawiusz, znany

dotychczas ze ślepego przywiązania do Nerona. Zrozumiano wówczas, że Cezar pragnie się na wszelki wypadek ubezpieczyć przed wybuchem rozpaczny Winicyusza, i ciekawość wzrosła jeszcze bardziej.

Wszystkie spojrzenia zwracały się z natężeniem zajęciem na miejsce, na którem siedział nieszczęsny oblubieniec. On zaś, blady bardzo, z czołem pokrytem kroplami potu, niepewny był, jak i inni widzowie, ale zaniepokojony do ostatnich głębin duszy. Petroniusz, sam nie wiedząc dokładnie, co nastąpi, nie powiedział mu nic, tylko zapytał go, wróciwszy od Nerwy, czy gotów jest na wszystko, a następnie, czy będzie na widowisku. Winicyusz odpowiedział na oba pytania: «Tak!» — ale przytem mrowie przeszło mu przez całe ciało, domyślił się bowiem, że Petroniusz nie pyta bez przyczyny. Sam on żył już od niejakiego czasu jakby tylko półżyciem, sam pogrążył się w śmierci i zgodził się na śmierć dla Ligii, miała ona bowiem być dla nich obojga zarazem wyzwoleniem i ślubem, ale teraz poznał, że inna rzecz jest myśleć zdaleka o ostatniej chwili, jak o spokojnem zaśnięciu, a inna pójść patrzeć na męczarnie istoty, droższej nad życie. Wszystkie dawniej przebyte bóle odezwały się w nim nanowo. Uciszona rozpacz poczęła znów krzyczeć w duszy; ogarnęła go

dawna chęć ratowania Ligii za wszelką cenę. Od rana chciał się dostać do kunikulów, by się przekonać, czy Ligia w nich się znajduje, ale straż pretoriańska pilnowała wszystkich wejść, i rozkazy były tak surowe, że żołnierze, nawet znajomi, nie dali się zmiękczyć ni prośbą, ni złotem. Winicyuszowi wydawało się, że niepewność zabije go wprzód, nim ujrzy widowisko. Gdzieś na dnie serca kolatała mu się jeszcze nadzieja, że może Ligii niema w amfiteatrze i że wszystkie obawy są płonne. Chwilami czepiał się tej nadziei ze wszystkich sił. Mówił sobie, że Chrystus mógł ją przecie zabrać z więzienia, ale nie może pozwolić na jej mękę w cyrku. Dawniej zgodził się już był ze wszystkim na Jego wolę, teraz, gdy, odepchnięty od drzwi kunikulów, wrócił na swoje miejsce w amfiteatrze i gdy z zaciekawionych spojrzeń, jakie na niego zwracano, poznał, że najstraszniejsze przypuszczenia mogą być słuszne, począł Go błagać w duszy z namietnością, podobną niemal do groźby, o ratunek. «Ty możesz!» powtarzał, zaciskając konwulsyjnie ręce. «Ty możesz!» Przedtem ani domyślał się, że ta chwila, gdy zmieni się w rzeczywistość, będzie tak straszna. Teraz, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w nim dzieje, miał jednak poczucie, że, jeśli ujrzy mękę Ligii, to jego miłość zmieni się w nienawiść, a jego

wiara w rozpacz. I zarazem przerażał się tem pocuciem, bał się bowiem obrazić Chrystusa, którego błagał o zmiłowanie i cud. Już nie prosił o jej życie, chciał tylko, by umarła, nim ją wywiodą na arenę, i z niezglębionej otchłani bólu powtarzał w duszy: «Choć tego mi nie odmów, a ja Cię umiłuję bardziej jeszcze, niż miłowałem Cię dotąd». W końcu myśli jego rozpętały się, jak fale, targane wichrem. Budziła się w nim żądza zemsty i krwi. Porywała go szalona chęć rzucić się na Nerona i zdusić go wobec wszystkich widzów, a jednocześnie czuł, że tą żądzą obraża znowu Chrystusa i łamie Jego przykazania. Chwilami przelatywały mu przez głowę błyskawice nadziei, że to wszystko, przed czem drżała jego dusza, odwróci jeszcze wszechmocna i miłosierna ręka, lecz gasły natychmiast, jakby w niezmiernem rozżaleniu, że Ów, który mógł jednym słowem zburzyć ten cyrk i ocalić Ligię, opuścił ją jednak, chociaż ufala Mu i umiłowała Go ze wszystkich sił swego czystego serca. I myślał dalej, że oto ona tam leży w ciemnem kunikulum, słaba, bezbronna, opuszczona, zdana na łaskę i nielaskę zezwierzęconych stróżów, goniąca może ostatnim tchem, on zaś musi czekać bezradnie w tym strasznym amfiteatrze, nie wiedząc, jaką obmyślano dla niej mękę i co za chwilę zobaczy. Wreszcie,

jak człowiek, który spadając w przepaść, chwytając się wszystkiego, co rośnie nad jej krawędzią, tak i on oburącz chwycił się myśli, że jednak tylko wiarą może ją ocalić. Wszak zostawał tylko ten jeden sposób! wszak Piotr mówił, że wiarą ziemię można wzruszyć w posadach!

Więc skupił się, zgniół w sobie zwątpienie, całą swoją istotę zamknął w jedno słowo: wierzę — i czekał cudu.

Lecz, równie jak zbyt nateżona struna musi pęknąć, tak i jego złamało wysilenie. Trupia bledź pokryła mu twarz i ciało poczęło tężeć. Wówczas pomyślał, że błaganie jego zostało wysłuchane, bo oto umiera. Wydało mu się, że Ligia niezawodnie musiała już także umrzeć, i że Chrystus bierze ich w ten sposób do siebie. Arena, białe togi nieprzeliczonych widzów, światło tysiącznych lamp i pochodni, wszystko razem znikło mu z oczu.

Ale owa niemoc nie trwała długo. Po chwili zbudził się, a raczej zbudziło go tupanie zniecierpliwionego ludu.

— Chory jesteś — rzekł mu Petroniusz: — każ się odnieść do domu!

I nie zważając, co powie na to Cezar, wstał, by podeprzeć Winicyusza i wyjść z nim razem. Serce wezbrało mu litością, a przytem drażniło go do niewytrzymania to, że Cezar patrzył przez

szmaragd na Winicyusza, studyując z zadowoleniem jego boleść, może dlatego, aby ją potem opisać w patetycznych strofach i zyskać poklask słuchaczy.

Winicyusz potrząsnął głową. Mógł umrzeć w tym amfiteatrze, ale nie mógł z niego wyjść. Wszakże przedstawienie miało się lada minuta rozpocząć.

Jakoż, w tej samej prawie chwili, prefekt miasta cisnął przed siebie czerwoną chustkę, a na ów znak zaskrzypiały wrzeczadze naprzeciwko cesarskiego podium, i z ciemnej czeluści wyszedł na jasno oświeconą arenę Ursus.

Olbrzym mrugał powiekami, widocznie olśniony światłem areny, poczem wysunął się na jej środek, rozglądając się wkoło, jakby chcąc rozpoznać, z czem mu przyjdzie się spotkać. Wszystkim augustyanom i większości widzów wiadomo było, że to jest człowiek, który zadusił Krotona, więc na jego widok szmer rozległ się po wszystkich ławach. W Rzymie nie brakło gladiatorów, ogromniejszych o wiele nad zwykłą miarę ludzką, ale podobnego nie widziały jeszcze oczy Kwirytów. Kasyusz, stojący w podium za Cezarem, wydawał się przy tym Ligu nikłym człowiekiem. Senatorowie, westalki, Cezar, augustianie i lud patrzali z zachwytem znawców i miłośników na jego potężne, grube, jak konary, uda-

na piersi, podobne do dwóch połączonych tarcz, i na herkulesowe ramiona. Szmer wzrastał z każdą chwilą. Dla tych tłumów nie mogła wprost istnieć większa rozkosz, niż widzieć takie muskuły w grze, w napięciu i w walce. Szmer zmieniał się w okrzyki i gorączkowe pytania, gdzie mieszka szczep, który wydaje podobnych wielkoludów, ów zaś stał w środku amfiteatru, nagi, do kamiennego kolosu, niż do człowieka, podobniejszy, ze skupioną, a zarazem smutną twarzą barbarzyńcy, i, widząc pustą arenę, spoglądał ze zdziwieniem swemi niebieskimi oczyma dziecka to na widzów, to na Cezara, to na kraty kunikulów, skąd oczekiwał katów.

W chwili, gdy wychodził na arenę, prosta-cze serce jego zakolatało po raz ostatni nadzieją, że może czeka go krzyż, lecz, gdy nie ujrzał ni krzyża, ni gotowego dołu, pomyślał, że niegodny jest tej łaski i że przyjdzie mu umrzeć inaczej, i zapewne od zwierząt. Był bezbronny i postanowił zginąć, jak przystało na wyznawcę «Baranka», spokojnie i cierpliwie. Tymczasem chciał pomodlić się jeszcze do Zbawiciela, więc klękawszy na arenie, złożył ręce i podniósł wzrok ku gwiazdom, migocącym przez górny otwór cyrku.

Postawa ta nie podobala się tłumom. Dosyć

już miano tych chrześcijan, umierających jak owce. Zrozumiano, że jeśli olbrzym nie zechce się bronić, widowisko chybi. Tu i owdzie ozwały się sykania. Niektórzy poczęli wołać o mastygorów, których zadaniem było chłostać szermierzy, nie chcących walczyć. Po chwili ucichło jednak wszystko, nikt bowiem nie wiedział, co czeka olbrzymu, i czy nie zechce walczyć, gdy spotka się oko w oko ze śmiercią.

Jakoż nie czekano już długo. Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata naprzeciw cesarskiego podium, i na arenę wypadł wśród wrzasków bestyaryów potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece.

— Ligio! Ligio! — krzyknął Winicyusz.

Poczem chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w lęk, jak człowiek, który czuł w sobie ostrze włóczni, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać:

— Wierzę! wierzę!... Chryste! cudu!!

I nie czuł nawet, że w tej chwili Petroniusz zakrył mu głowę togą. Zdawało mu się, że to śmierć lub ból przesłania mu oczy. Nie patrzył, nie widział. Ogarnęło go poczucie jakiejś strasznej próżni. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, usta tylko powtarzały, jak w oblakaniu:

— Wierzę! wierzę! wierzę!...

Wtem amfiteatr umilkł. Augustyanie podnieśli się, jak jeden człowiek, z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lig, ujrawszy swą królowną na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem i, pochyliwszy grzbiet, poczał biedz pod kątem ku rozszalalemu zwierzęciu.

Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdumienia, po którym uczyniła się głucha cisza: Lig dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego byka i chwycił go za rogi.

— Patrz! — zawołał Petroniusz, zrywając tożę z głowy Winicyusza.

Ów zaś podniósł się, przechylił w tył swą bladą, jak płótno twarz i poczał patrzeć na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem.

Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.

Lig trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się, jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach mięśnie wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich naciskiem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek, i zwierzę trwali w takiej nieruchomości, iż pa-

trzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa lub Tezeusza, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe napięcie dwóch zmagających się z sobą sił. Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skureczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwaj się wyczerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla tych rozmiłowanych w walkach widzów miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lig był im teraz półbogiem, godnym czci i posagów. Sam Cezar wstał także. Oni z Tygellinem, słysząc o sile człowieka, umyślnie urządzili takie widowisko i, drwiąc, mówili sobie: «Niechże ten Krotobójca pokona tura, którego mu wybierzem!» Teraz zaś spoglądali w zdumieniu na obraz, jaki mieli przed sobą, jakby nie wierząc, żeby to być mogła rzeczywistość. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy, podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsa-

dzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki.

A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś wkopani w ziemię.

Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk, i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy.

A twarz Liga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych ludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy.

Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśnieszyszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi spieniony język.

Chwila jeszcze — i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwałił się na ziemię ze skruconym śmiertelnie karkiem.

Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wzięwszy dziewczę na ręce, poczał oddychać śpiesznie.

Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od

potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy i poczał patrzeć na widzów.

A amfiteatr oszalał

Ściany budynku poczęły drżeć od wrzasku kilkudziesięciu tysięcy widzów. Od czasu rozpoczęcia widowisk nie pamiętano takiego uniesienia. Siedzący na wyższych rzędach poopuszczali je i poczęli zstępować na dół, tłocząc się w przejściach między ławkami, aby bliżej przypatrzeć się silaczowi. Zewsząd ozwały się głosy o łaskę, namiętne, uparte, które wkrótce zmieniły się w jeden powszechny okrzyk. Ów olbrzym stał się teraz drogim dla tego rozmiłowanego w sile fizycznej ludu i pierwszą w Rzymie osobą.

On zaś zrozumiał, że tłum domaga się, by darowano mu życie i zwrócono wolność, lecz widocznie nie chodziło mu tylko o siebie. Przez chwilę rozglądał się dokoła, poczem zbliżył się do cesarskiego podium i, kołysząc ciało dziewczyny na wyciągniętych ramionach, podniósł oczy z wyrazem błagalnej prośby, jakby chciał mówić:

— Nad nią się zmiłujcie! ją ocalcie! jam dla niej to uczynił!

Widzowie pojęli doskonale, czego żądał. Na

widok zemdlonej dziewczyny, która przy ogromnem ciełe Liga wydawała się małym dzieckiem, wzruszenie ogarnęło tłum, rycerzy i senatorów. Jej drobna postać, tak biała, jakby wycięta z alabastru, jej zemdleńie, okropne niebezpieczeństwo, z którego uwolnił ją olbrzym, a wreszcie jej piękność i jego przywiązanie, wstrząsnęły serca. Niektórzy mniemali, że to ojciec żebrze o zmiłowanie nad dzieckiem. Litość buchnęła nagle, jak płomień. Dość już miano krwi, dość śmierci, dość mąk. Zdlawione łzami głosy poczęły wołać o łaskę dla obojga.

Ursus tymczasem posuwał się wokół areny i kołyszac wciąż dziewczynę na ramionach, ruchem i oczyma błagał dla niej o życie. A wtem Winicyusz zerwał się z miejsca, przeskoczył odgrozdzenie, dzielące pierwsze miejsca od areny, i przybiegłszy do Ligii, nakrył togą jej nagie ciało.

Poczem rozdarł tunikę na piersiach, odkrył blizny, pozostałe po ranach, otrzymanych w wojnie armeńskiej, i wyciągnął ręce do ludu.

Wówczas uniesienie tłumów przeszło wszelką widywaną w amfiteatrach miarę. Tłuszcza poczęła tupać i wyć. Głosy, wołające o łaskę, stały się wprost groźne. Lud ujmował się już nie tylko za atletą, ale stawał w obronie dziewczyny, żołnierza i ich miłości. Tysiące widzów

zwrócili się ku Cezarowi z polyskami gniewu w oczach i z zaciśniętymi pięściami. Ów wszelako ociągał się i wahał. Do Winicyusza nie miał wprawdzie nienawiści i na śmierci Ligii nie zależało mu nic, lecz wolalby widzieć ciało dziewczyny popróte rogami byka lub podarte klami zwierząt. Zarówno jego okrucieństwo, jak jego zwyrodniała wyobraźnia i zwyrodniałe żądze znajdowały jakąś rozkosz w podobnych widokach. A oto lud chciał go jej pozbawić. Na tę myśl gniew odbił się na jego roztyłej twarzy. Miłość własna nie pozwalała mu także poddać się woli tłumów, a jednocześnie nie śmiał się jej przez przyrodzone tchórzostwo sprzeciwić.

Więc począł patrzeć, czy przynajmniej między augustyanami nie dostrzeże zwróconych ku dołowi palców na znak śmierci. Lecz Petroniusz trzymał wzniesioną do góry dłoń, patrząc przytem niemal wyzywająco w jego twarz. Przesądny, ale skłonny do uniesień Westynus, który bał się duchów, ale nie bał się ludzi, dawał znak łaski. Toż samo czynił senator Scewinus, toż samo Nerwa, toż samo Tulliusz Senecio, toż samo słynny wódz Ostoryusz Skapula, toż samo Antistius, toż samo Piso i Wetus, i Crispinus i Minucius Thermus, i Poncius Telesinus, i najpoważniejszy, czczony przez lud, Trazeasz. Na ten widok, Cezar odjął szmaragd od oka z wy-

razem pogardy i urazy, gdy wtem Tygellin, któremu chodziło o to, by na złość uczynić Petroniuszowi, pochylił się i rzekł:

— Nie ustępuj, boski: mamy pretoryanów.

Wówczas Nero zwrócił się w stronę, gdzie komendę nad pretoryanami trzymał srogi i oddany mu dotychczas całą duszą Subryusz Flawiusz, i ujrzał rzecz nadzwyczajną. Twarz staro trybuna była groźna, ale zalana łzami, i rękę trzymał wzniesioną w górę na znak łaski.

Tymczasem tłumy poczęła ogarniać wściekłość. Kurzawa wzbila się z pod tupiących nóg i przesłoniła amfiteatr. Wśród okrzyków odzywały się głosy: «Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!»

Nero zląkł się. Lud był wszechwładnym panem w cyrku. Poprzedni Cezarowie, a zwłaszcza Kaligula, pozwalali sobie czasem iść wbrew jego woli, co zresztą wywolywało zawsze rozruchy, dochodzące nawet do rozlewu krwi. Lecz Nero w odmiennem był położeniu. Naprzód, jako komedyant i śpiewak, potrzebował łaski ludu, powtóre, chciał go mieć po swej stronie przeciw senatowi i patrycyuszom, a wreszcie po pożarze Rzymu usiłował wszelkimi sposobami przejednać go sobie i zwrócić jego gniew na chrześcijan. Zrozumiał wreszcie, że sprzeciwiać się dłużej było wprost niebezpiecznie. Rozruch, po-

częty w cyrku, mógł ogarnąć całe miasto i mieć nieobliczone następstwa.

Spojrzał więc raz jeszcze na Subryusza Flawiusza, na centuryona Scewina, krewnego senatora, na żołnierzy i, widząc zmarszczone wszędzie brwi, wzruszone twarze i utkwione w siebie oczy, dał znak łaski.

Wówczas grzmot oklasków rozległ się od góry do dołu. Lud pewien już był życia skazanych, gdyż od tej chwili wchodzili oni pod jego opiekę, i nawet Cezar nie ośmieliłby się ścigać ich dłużej swą zemstą.

ROZDZIAŁ LXVII.

Czterech Bityńczyków niesło ostrożnie Ligię do domu Petroniusza, Winicyusz zaś i Ursus szli obok, śpiesząc się, by jak najprędzej oddać ją w ręce greckiego lekarza. Szli w milczeniu, gdyż po przejściach dnia tego nie mogli się zdobyć na rozmowę. Winicyusz był dotychczas jakby nawpół przytomny. Powtarzał sobie, że Ligia jest ocalona, że nie grozi jej już ni więzienie, ni śmierć w cyrku, że nieszczęścia ich skończyły się raz na zawsze, i że zabiera ją do domu, by nie rozłączyć się z nią więcej. I zdawało mu się, że to raczej początek jakiegoś innego życia, niż rzeczywistość. Od czasu do czasu pochylał się na otwartą lektykę, by patrzeć na tę kochaną twarz, która przy świetle księżyca wydawała się uśpioną i powtarzał w myśli: «To ona! Chrystus ocalił ją!» Przypominał sobie także, że do spoliarium, dokąd obaj z Ursusem odnieśli Ligię, nadszedł jakiś nieznany mu lekarz i zapewnił go,

że dziewczyna żyje i żyć będzie. Na myśl o tem, radość rozdzierała mu tak piersi, że chwilami słabł i wspierał się na ramieniu Ursusa, nie mogąc iść o własnej mocy. Ursus zaś patrzył w usiane gwiazdami niebo i modlił się.

Szli śpiesznie wśród ulic, na których świeżo wniesione białe domy błyszczały mocno w miesięcznym blasku. Miasto było puste. Gdziekolwiek tylko gromadki ludzi, uwięzionych bluszczem, śpiewały i tańczyły przed portykami przy odgłosie fletni, korzystając z cudnej nocy i świątecznej pory, która trwała od początku igrzysk. Dopiero gdy już byli niedaleko domu, Ursus przestał się modlić i zaczął mówić cicho, jakby się bał zbudzić Ligię:

— Panie, to Zbawiciel ocalił ją od śmierci. Gdym ujrzał ją na rogach tura, usłyszałem w duszy głos: «Broń jej!» — i to był niezawodnie głos Baranka. Więzienie wyżarło mi siły, ale On mi je wrócił na tę chwilę i On natchnął ten srogi lud, że ujął się za nią. Bądź Jego wola!

A Winicyusz odrzekł:

— Uwielbione niech będzie imię Jego!...

Lecz nie mógł mówić więcej, gdyż nagle uczuł, że ogromny płacz wzbiera mu w piersi. Chwyciła go niepohamowana chęć rzucić się na ziemię i dziękować Zbawicielowi za cud i miłosierdzie.

Tymczasem jednak doszli do domu; służba, uprzedzona przez wysłanego umyślnie naprzód niewolnika, wyroila się na ich spotkanie. Paweł z Tarsu nawrócił jeszcze w Antium większą część tych ludzi. Niestety Winicyusza znane im były doskonale, więc radość ich na widok ofiar, wyrwanych złości Neronu, była ogromna, a zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy lekarz, Teokles, po obejrzeniu Ligii oświadczył, że nie poniosła żadnej ciężkiej obrazy i że po przejściu osłabienia, pozostałego po więziennej gorączce, wróci do zdrowia.

Przytomność wróciła jej jeszcze tejże nocy. Zbudziwszy się we wspaniałym kubikulum, oświetlonym korynckimi lampami, wśród woni werweny, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Pozostała jej pamięć chwili, w której przywiązywano ją do rogów skrupowanego łańcuchami byka, teraz zaś, widząc nad sobą twarz Winicyusza, oświeconą łagodnym kolorowym światłem, sądziła, że chyba już nie są na ziemi. Myśli mąciły się jeszcze w jej osłabionej głowie; wydało się jej rzeczą naturalną, że zatrzymali się gdzieś po drodze do nieba z powodu jej umęczenia i słabości. Nie czując jednak żadnego bólu, uśmiechnęła się do Winicyusza i chciała go spytać, gdzie są, lecz z ust jej wyszedł tylko

eichy szept, w którym Winicyusz mógł zaledwie odróżnić swoje imię.

Więc klęknął przy niej i, położywszy lekko rękę na jej czole, rzekł:

— Chrystus cię ocalił i wrócił mi cię!

Jej usta poruszyły się znowu niezrozumiałym szeptem, po chwili jednak powieki jej przymknęły się, piersi podniosły się lekkim westchnieniem, i zapadła w sen głęboki, którego oczekiwał lekarz Teokles i po którym przepowiadał powrót do zdrowia.

A Winicyusz pozostał przy niej klęczący i pogrążony w modlitwie. Dusza roztajała mu miłością tak ogromną, że zapamiętał się zupełnie. Teokles kilkakrotnie wchodził do kubikulum, kilka razy z za uchylonej zasłony ukazywała się złotowłosa głowa Eunice, wreszcie żórawie, hodowane po ogrodach, poczęły krzyczeć, zwiastując początek dnia, a on jeszcze obejmował w myśli stopy Chrystusa, nie widząc i nie słysząc, co się wokół niego dzieje, z sercem zmienionem w ofiarny dziękczynny płomień, pogrążony w zachwyceniu, za życia jeszcze nawpół wniebowzięty.

ROZDZIAŁ LXVIII.

Petroniusz, po uwolnieniu Ligii, nie chcąc drażnić Cezara, udał się za nim wraz z innymi augustyanami na Palatyn. Pragnął posłuchać, o czem tam będą mówili, a zwłaszcza przekonać się, czy Tygellin nie obmyśli czegoś nowego na zgubę dziewczyny. I ona i Ursus wchodzili wprawdzie niejako pod opiekę ludu, i bez wzniecenia rozruchów nikt teraz nie mógł podnieść na nich ręki, jednak Petroniusz, wiedząc o nienawiści, jaką płonął ku niemu wszechwładny prefekt pretoryi, przypuszczał, że prawdopodobnie ów, nie mogąc go wprost dosięgnąć, będzie starał się jeszcze wyrzucić jakimkolwiek sposobem zemstę na jego siostrzeńcu.

Nero gniewny był i rozdrażniony, albowiem przedstawienie skończyło się zupełnie inaczej, niż sobie życzył. Na Petroniusza nie chciał z początku ani spojrzeć, lecz ten, nie tracąc

zimnej krwi, zbliżył się do niego z całą swobodą «arbitra elegancyi» i rzekł mu:

— Czy wiesz, boski, co mi przychodzi przez myśl? Napisz pieśń o dziewicy, którą rozkaz władcy świata uwalnia z rogów dzikiego tura i oddaje kochankowi. Grecy mają czule serca, i jestem pewny, że oczaruje ich pieśń taka.

Neronowi, mimo dalego rozdrażnienia, myśl ta przypadła do smaku i przypadła podwójnie: naprzód, jako temat do pieśni, a powtóre, że mógł wysławić w niej samego siebie, jako wspańiałomyślnego władcę świata; więc popatrzał przez chwilę na Petroniusza, poczem rzekł:

— Tak jest! może masz słuszość! Ale czy wypada mi śpiewać własną dobroć?

— Nie potrzebujesz się wymieniać. Każdy w Rzymie odgadnie i tak, o co chodzi, a z Rzymu wieści rozchodzą się na cały świat.

— I jesteś pewien, że się to podoba w Achai?

— Na Polluksa! — zawołał Petroniusz.

I odszedł zadowolony, był już teraz bowiem pewien, że Nero, którego całe życie było stosowaniem rzeczywistości do pomysłów literackich, nie zechce sobie popsuć tematu, a tem samem zwiąże ręce Tygellinowi. Nie zmieniło to jednakże jego zamiaru wyprawienia z Rzymu Winicyusza, jak tylko zdrowie Ligii przestanie sta-

nowić przeszkodę. To też, ujrzawszy go następnego dnia, rzekł mu:

— Wywieź ją do Sycylii. Zaszło coś takiego, że ze strony Cezara nie wam nie grozi, ale Tygellin gotów użyć nawet trucizny, jeśli nie z nie-nawiści ku wam, to ku mnie.

Winicyusz uśmiechnął się na to i odrzekł:

— Ona była na rogach dzikiego tura, a przecie Chrystus ją ocalił.

— To uczcij go stuwołem, — odpowiedział z odcieniem zniecierpliwienia Petroniusz — ale nie każ Mu ocalać jej po raz drugi... Czy pamiętasz, jak Eol przyjął Odyseusza, gdy wrócił prosić go powtórnie o pomyślny ładunek wiatrów? Bóstwa nie lubią się powtarzać.

— Gdy wróci jej zdrowie, — odrzekł Winicyusz — odwiozę ją do Pomponii Graeciny.

— I uczynisz tem słuszniej, że Pomponia leży chora. Mówił mi o tem krewny Aulusów, Antistius. Tu zajdą tymczasem takie rzeczy, że ludzie o was zapomną, a w dzisiejszych czasach najszcześliwsi ci, o których zapomniano. Niech Fortuna będzie wam słońcem w zimie, a cieniem w lecie!

To rzekłszy, pozostawił Winicyusza jego szczęściu, sam zaś poszedł wybadać Teoklesa o zdrowie i życie Ligii.

Lecz jej nie groziło już niebezpieczeństwo. W podziemiach, przy wycieńczeniu, pozostałem po więziennej gorączce, byłoby ją dobiło zgniłe powietrze i niewygody, lecz teraz otaczała ją najtkliwsza opieka i nietylko dostatek, ale i przepych. Z rozkazu Teoklesa, po upływie dwóch dni poczęto ją wynosić do ogrodów, otaczających wille, w których pozostawała przez długie godziny. Winicyusz ubierał jej lektykę w anemony, a zwłaszcza w irysy, by jej przypomnieć atrium w domu Aulusów. Nieraz, ukryci w cieniu rozrosłych drzew, rozmawiali, trzymając się za ręce, o dawnych bólach i dawnych trwogach. Ligia mówiła mu, że Chrystus umyślnie przeprowadził go przez mękę, by zmienić duszę jego i podnieść ją ku sobie, on zaś czuł, że to prawda, i że nie pozostało w nim nic z dawnego patrycyusza, który nie uznawał innego prawa nad własne żądze. Ale w tych rozpamiętywaniach nie było nic gorzkiego. Zdawało się obojgu, że całe lata przetoczyły się nad ich głowami, i że ta straszna przeszłość leży już daleko za nimi. Tymczasem ogarnia ich spokój, jakiego nigdy nie doznawali dotychczas. Jakieś nowe życie, ogromnie błogie, szło ku nim i brało ich w siebie. W Rzymie mógł sobie szaleć Cezar i napelniać trwogą świat, oni, czując nad sobą opiekę stokroć potężniejszą, nie obawiali się już

ni jego złości, ni jego szaleństw, tak, jak gdyby przestał być panem ich życia lub śmierci. Raz, pod zachód słońca, usłyszeli dochodzące z odległych wiwaryów ryki lwów i innych dzikich zwierząt. Niegdyś te odgłosy przejęły trwogą Winicyusza, jako zła wróżba. Teraz spojrzeli tylko na siebie z uśmiechem, a potem wzniesli oboje oczy ku zorzom wieczornym. Czasami Ligia, będąc jeszcze osłabioną bardzo i nie mogąc chodzić o własnej mocy, zasypiała wśród ciszy ogrodowej, on zaś czuwał nad nią i, wpatrując się w jej uśpioną twarz, myślał mimowoli, że to już nie ta Ligia, którą spotkał u Aulusów. Jakoż więzienie i choroba zgasiły w części jej urodę. Wówczas, gdy widywał ją u Aulusów, i później, gdy przyszedł porwać ją do domu Myriamy, była tak cudna, jak posąg i zarazem kwiat; teraz twarz jej stała się niemal przezroczysta, ręce wychudły, ciało wyszczuplało przez chorobę, usta pobladły i oczy nawet zdawały się być mniej błękitne, niż przedtem. Złotowłosa Eunice, która przynosiła jej kwiaty i drogocenne tkaniny dla przykrywania jej nóg, wyglądała przy niej, jak bóstwo cypryjskie. Esteta Petroniusz napróżno silił się, by wynaleźć w niej dawne ponęty i, wzruszając ramionami, myślał w duszy, że ów cień z pól Elizejskich nie był wart tych zachodów, tych bólów i mąk, które

o mało nie wyssały życia Winicyuszowi. Lecz Winicyusz, który kochał teraz jej duszę, kochał ją tylko tembardziej i gdy czuwał nad uśpioną, wydawało mu się, że czuwa nad światem całym.

ROZDZIAŁ LXIX.

Wieść o cudownem ocaleniu Ligii szybko rozniosła się wśród rozbitków chrześcijańskich, którzy ocaleli dotychczas z pogromu. Wyznawcy poczęli się schodzić, by oglądać tę, nad którą jawnie okazała się łaska Chrystusowa. Przyszedł naprzód młody Nazaryusz z Miriamą, u których krył się dotychczas Piotr Apostoł, a za nimi ścigali i inni. Wszyscy razem, wraz z Winicyuszem, Ligią i chrześcijańskimi niewolnikami Petroniusza, słuchali ze skupieniem opowiadania Ursusa o głosie, który odezwał się w jego duszy i nakazał mu walczyć z dzikiem zwierzęciem, i wszyscy odchodzili z otuchą i nadzieją, że Chrystus nie pozwoli jednak wypłenić na ziemi do reszty swych wyznawców, zanim sam przyjdzie na sąd straszliwy. I nadzieja ta podtrzymywała ich serca, albowiem prześladowanie nie ustawało dotąd. Kogo tylko głos publiczny wskazał jako chrześcijanina, tego wigi-

lowie miejscy porywali natychmiast do więzienia. Ofiar wprawdzie było już mniej, bo ogół wyznawców schwytano i wymęczono, pozostali zaś albo wyszli z Rzymu, by w odległych prowincjach przeczekać burzę, albo kryli się najstaranniej, nie odważając się zbierać na wspólne modlitwy inaczej, tylko w arenaryach, leżących po za miastem. Jednakże śledzono ich jeszcze i pomimo, iż właściwe igrzyska były już ukończone, zachowywano ich na następne, lub sądzono doraźnie. Jakkolwiek lud rzymski nie wierzył już, by chrześcijanie byli sprawcami pożaru miasta, jednakże ogłoszono ich za nieprzyjaciół ludzkości i państwa, i edykt przeciw nim trwał ciągle w dawnej mocy.

Piotr Apostoł długo nie śmiał ukazać się w domu Petroniusza, wreszcie jednak pewnego wieczoru Nazaryusz oznajmił jego przybycie. Ligia, która chodziła już o swej mocy, i Winicyusz wybiegli na jego spotkanie i poczęli obejmować jego nogi, on zaś witał ich ze wzruszeniem tem większem, że niewiele pozostało mu już owiec w tej trzodzie, nad którą rządy zdał mu Chrystus, a nad której losem płakało teraz jego wielkie serce. To też gdy Winicyusz rzekł mu: «Panie! za twoją to przyczyną Zbawiciel powrócił mi ją» — on odrzekł: «Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszyst-

kie usta, które wyznawały imię Jego». I widocznie myślał wówczas o tych tysiącach dzieci swych, porozdzieranych przez dzikie zwierzęta, o tych krzyżach, którymi nabite były areny, i o tych słupach ognistych w ogrodach «Bestyi», albowiem mówił to z żalością wielką. Winicyusz i Ligia zauważyli też, że włosy jego pobielaly zupełnie, cała postać pochyliła się, a w twarzy tyle miał smutku i cierpienia, jakby przeszedł przez wszystkie te bóle i męki, przez które przeszły ofiary wściekłości i szalu Nerona. Lecz oboje rozumieli już, że gdy Chrystus sam poddał się męce i śmierci, nie może uchylić się od niej nikt. Jednakże krajało się w nich serce na widok Apostoła, przygniecione go brzemieniem lat, trudu i bólu. Więc Winicyusz, który za kilka już dni zamierzał odwiedzić Ligię do Neapolis, gdzie mieli spotkać Pomponię i udać się dalej do Sycylii, począł go błagać, by wraz z nimi opuścił Rzym.

Lecz Apostoł położył rękę na jego głowie i odpowiedział:

— Słyszę oto w duszy słowa Pana, który nad jeziorem Tyberyadzkim rzekł mi: «Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzie

ty nie chcesz». Sluszną przeto, bym poszedł za trzodą moją.

A gdy umilkli, nie rozumiejąc, co mówi, dodał:

— Dobiega końca trud mój, ale gościnność i odpocznienie znajdę dopiero w domu Pana.

Poczem zwrócił się do nich, mówiąc: «Pamiętajcie mnie, bom was umiłował, jako ojciec miłuje dzieci swoje, a co w życiu czynić będziecie, czyńcie na chwałę Pana».

Tak mówiąc, podniósł nad nimi swe stare, drżące dłonie i błogosławił ich, oni zaś tulili się do niego, czując, że to jest ostatnie może błogosławieństwo, jakie z jego rąk otrzymują.

Przeznaczonem im jednak było widzieć go raz jeszcze. W kilka dni później Petroniusz przyniósł groźne wieści z Palatynu. Odkryto tam, iż jeden z wyzwolenców Cezara był chrześcijaninem, i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarsu, oraz listy Jakóba, Judy i Jana. Przebywanie Piotra w Rzymie było już poprzednio wiadome Tygellinowi, sądził jednak, że ów zginął wraz z tysiącami innych wyznawców. Teraz wydało się, że dwaj naczelnicy nowej wiary są dotychczas przy życiu i znajdują się w stolicy, postanowiono więc odnaleźć ich i chwycić za wszelką cenę, gdyż spodziewano się, iż dopiero wraz z ich śmiercią ostatnie korzenie nienawistnej sekty zostaną wyrwane. Pe-

troniusz slyszal od Westynusa, iż sam Cezar wydał rozkaz, by w ciągu trzech dni i Piotr i Paweł z Tarsu byli już w Mamertyńskim więzieniu, i że całe oddziały pretoryanów wysłano dla przetrząśnięcia wszystkich domów na Zatybrzu.

Winicyusz, uslyszawszy o tem, postanowił pójść ostrzedz Apostoła. Wieczorem obaj z Ursusem, przywdziawszy gallijskie płaszcze, osłaniające twarze, udali się do domu Miriamy, u której Piotr przebywał, położonego na samym krańcu zatybrzańskiej części miasta, u stóp Janikulskiego wzgórza. Po drodze widzieli domy, otoczone żołnierzami, których prowadzili jacyś nieznani ludzie. Dzielnica była zaniepokojona, a miejscami zbierały się gromady ciekawych. Tu i owdzie centuryonowie badali schwytych więźniów, wypytując ich o Piotra Symeona i o Pawła z Tarsu.

Ursus i Winicyusz, wyprzedziwszy żołnierzy, doszli jednak szczęśliwie do mieszkania Miriamy, w którym zastali Piotra, otoczonego garstką wiernych. Tymoteusz, pomocnik Pawła z Tarsu, i Linnus znajdowali się również przy boku Apostoła.

Na wieść o blizkiem niebezpieczeństwie, Nazaryusz wyprowadził wszystkich ukrytem przejściem do furtki ogrodowej, a następnie do opusz-

czonych kamieniołomów, odległych o kilkaset kroków od bramy Janikulskiej. Ursus musiał przytem nieść Linnusa, którego kości połamane przez tortury, nie zrosły się dotychczas. Raz jednak znalazłszy się w podziemiu, uczuli się bezpieczni i przy świetle kaganka, który rozniecił Nazaryusz, poczęli cichą naradę, jak ratować drogie życie Apostoła.

— Panie, — rzekł mu Winicyusz — niech jutro świtaniem Nazaryusz wyprowadzi cię z miasta ku góróm Albańskim. Tam cię odnajdziem i zabierzemy cię do Antium, gdzie czeka statek, który ma przewieźć nas oboje do Neapolis i Sycylii. Szczęśliwy będzie dzień i godzina, w której wstąpisz w dom mój i pobłogosławisz moje ognisko.

Inni słuchali go z radością i nastawiali na Apostoła, mówiąc:

— Chroni się, pasterzu nasz, albowiem nie ostać ci się w Rzymie. Przechowaj żywą prawdę, aby nie zginęła wraz z nami i tobą. Wysłuchaj nas, którzy błagamy cię, jak ojca.

— Uczyni to w imię Chrystusa! — wołali inni, czepiając się szat jego.

On zaś odpowiadał:

— Dzieci moje! Któż wie, kiedy mu Pan kres żywota naznaczy?

Lecz nie mówił, że nie opuści Rzymu, i sam

wahał się, co uczynić, gdyż już oddawna wkradła się w duszę jego niepewność, a nawet i trwoga. Ale trzoda jego była rozproszona, dzieło zburzone, Kościół, który przed pożarem miasta wybuchał, jak drzewo wspaniale, obróciła w proch moc «Bestyi». Nie zostało nic, prócz lez, nic, prócz wspomnień mąk i śmierci. Siejba wydała plon obfity, ale szatan wdeptał go w ziemię. Zastępy aniołów nie przyszły na pomoc ginącym, i oto Nero rozsiada się w chwale nad światem, straszny, potężniejszy, niż kiedykolwiek, pan wszystkich mórz i wszystkich lądów. Nie raz już Boży rybak wyciągał w samotności ręce ku niebu i pytał: «Panie! co mam czynić? Jakżeż mi się ostać? i jakżeż starzec bezsilny mam walczyć z tą nieprzebraną siłą Złego, któremu pozwoliłeś władać i zwyciężać?»

I wołał tak z głębi niezmiernego bólu, powtarzając w duszy: «Nie masz już onych owiec, które mi paść kazalesz, nie masz Twego Kościoła, pustka i żaloba w Twej stolicy, więc co mi teraz rozkażesz? Mam-li tu zostać, czy też wyprowadzić resztę trzody, abyśmy gdzieś za morzami sławili w ukryciu imię Twoje?»

I wahał się. Wierzył, że prawda żywa nie zginie i musi przeważyć, ale chwilami myślał, że nie przyszedł jeszcze jej czas, który nadejdzie wówczas dopiero, gdy Pan zstąpi na ziemię

w dzień sądu, w chwale i potędze, stokroć od Neronowej potężniejszej.

Często wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym, wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen, do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberyadzkiego morza, do pastery, spokojnych jak gołębie lub jak owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu. I coraz większa chęć ciszy i wypoczynku, coraz większa tęsknota za jeziorem i Galileją ogarniała rybaczę serce, coraz częstsze łzy napływały do oczu starca.

Lecz gdy na chwilę uczynił już wybór, ogarniał go nagły strach i niepokój. Jakoż mu opuścić to miasto, w którym tyle krwi męczeńskiej wsiąkło w ziemię i gdzie tyle ust konających dawało świadectwo prawdzie? Ma-li on jeden uchylić się od tego? I co odpowie Panu, gdy usłyszy słowa: «Oto oni pomarli za wiarę swoją, a ty uciekłeś?»

Noce i dni upływały mu w trosce i zmartwieniu. Inni, których rozdarły lwy, których poprzybijano na krzyże, których popalono w ogrodach Cezara, posnęli po chwilach męki w Panu, on zaś spać nie mógł i czuł mękę większą od tych wszystkich, które obmyślali kaci dla ofiar. Świt często już bielił dachy domów, gdy on wołał jeszcze z głębi rozżalonego serca:

— Panie, przecz mi tu przyjsć kazaleś i w tem gnieździe Bestyi założyć stolicę Twoją?

Przez trzydzieści cztery lata od śmierci Pana swego nie zaznał spoczynku. Z kosztorem w rękę obiegał świat i opowiadał «dobrą nowinę». Siły jego wyczerpały się w podróżach i trudach, aż wreszcie, gdy w tym grodzie, który był głową świata, utwierdził dzieło Mistrza, jedno ogniste technienie Złości zżęgło je, i widział, że walkę trzeba podjąć nanowo. I jaką walkę! Z jednej strony Cezar, senat, lud, legie, obejmujące żelazną obręczą cały świat, nieprzeliczone grody, nieprzeliczone ziemie, potęga, jakiej oko ludzkie nie widziało; z drugiej strony — on, tak zgięty wiekiem i pracą, że drżące jego ręce zaledwie już zdolaly unieść kij podróżny.

Więc chwilami mówił sobie, że nie jemu mierzyć się z Cezarem Romy, i że dzieła tego może dokonać tylko sam Chrystus.

Wszystkie te myśli przebiegały teraz przez jego stroskaną głowę, gdy słuchał prośb ostatniej garstki swych wiernych, oni zaś, otaczając go coraz ciałniejszym kołem, powtarzali błagalnymi głosami:

— Chroń się, Rabbi, i nas wyprowadź z pod mocy Bestyi.

Wreszcie i Linnus pochylił przed nim swą umęczoną głowę.

— Panie! — mówił — tobie Zbawiciel kazał paść owce swoje, ale niema już tu ich, lub jutro ich nie będzie, więc idź tam, gdzie je odnaleźć jeszcze możesz. Oto żywie jeszcze słowo Boże i w Jeruzalem i w Antyochii i w Efezie i w innych miastach. Co wskórasz, zostawszy w Rzymie? Gdy legniesz, powiększysz tylko tryumf Bestyi. Janowi Pan nie oznaczył kresu życia, Paweł jest obywatelem rzymskim, i bez sądu karać go nie mogą, lecz jeśli nad tobą, Nauczycielu, rozstroży się moc piekielna, wówczas ci, w których upadło już serce, pytać będą: Któż jest nad Nerona? Tyś jest opoką, na której zbudowany jest Kościół Boży. Daj nam umrzeć, ale nie pozwól na zwycięstwo Antychrysta nad Namiestnikiem Bożym i nie wracaj tu, póki Pan nie skruszy tego, który wytoczył krew niewinną.

— Patrz na lzy nasze! — powtarzali wszyscy obecni.

Lzy spływały i po twarzy Piotra. Po chwili jednak podniósł się i, wyciągając nad klęczącymi dłonie, rzekł:

— Niech imię Pańskie będzie uwielbione i niech się stanie wola Jego!

ROZDZIAŁ LXX.

O brzasku następnego dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii.

Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafraną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kropłach rosy. Mgła rzędła, odkrywając coraz

szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między którymi bieląły kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, którymi aż do gór wyłożony był gościniec, siedl w ciszy odgłos drewnianych postolów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie. Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostola.

— Rabbi! co ci jest? — zwołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętymi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste! Chryste!...

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, Domine?...*

I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi, i nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo:

— *Quo vadis, Domine?...*

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.
I wrócił.

Paweł, Jan, Linnus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretoryanie otoczyli mieszkanie Miriamy i szukali w niem Apostola. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczoru udał się na ementarz Ostriański, aby nauczać i chrzczyć tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codziennie liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej lzy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych piersiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. Ale ci, którym dość było zbrodni i szalu, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pogiębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśliwi przychodzili słuchać

dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować i odkupić ich winy.

Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny, szczęście z miłości.

A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legie nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni lzy, ni krew, i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynalo być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

ROZDZIAŁ LXXI.

Aż wreszcie spełnił się czas dla obu Apostolów. Ale, jakby na zakończenie służby, danem było Bożemu rybakowi ulowić dwie dusze nawet i w więzieniu. Żołnierze Processus i Martinianus, którzy pilnowali go w więzieniu Mamertyńskim, przyjęli chrzest. Poczem nadeszła godzina męki. Nerona nie było wówczas w Rzymie. Wyrok wydali Helius i Polithetes, dwaj wyzwolenicy, którym Cezar powierzył na czas swej niebytności rządu nad Rzymem. Wiekowego Apostoła poddano naprzód przepisanej przez prawo, chłoscie, a następnego dnia wywieziono za mury miasta, ku wzgórzom Watykańskim, gdzie miał ponieść przeznaczoną mu karę krzyża. Żołnierzy dziwił tłum, który zebrał się przed więzieniem, gdyż w pojęciu ich śmierć prostego człowieka, i w dodatku cudzoziemca, nie powinna była budzić tyle zajęcia, nie rozumieli zaś, że korowód ów nie składał się z ciekawych, ale

z wyznawców, pragnących odprowadzić na miejsce kaźni Wielkiego Apostoła. Po południu otworzyły się wreszcie bramy więzienia, i Piotr ukazał się wśród oddziału pretoryanów. Słońce zniżyło się już nieco ku Ostyi, dzień był cichy i pogodny. Piotrowi, ze względu na jego sędziwe lata, nie kazano nieść krzyża, sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono mu widel na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny, i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych helmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceniu, ale zwycięzca odbywa pochód tryumfalny.

Jakoż tak było. Rybak, zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy, pelen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawaby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: «Oto Piotr odchodzi do Pana». Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystem skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie nie stało się dotychczas nic równie wiel-

kiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto.

Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś, kładąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: «Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie». A owi wpadali w zadumę, poczem odchodzili, mówiąc sobie: «Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy!»

Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów świeżo wzniesionych, wśród białych kolumn świątyń, nad których naczólkami wisiało niebo głębokie, ukójone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrząkły zbroje żołnierzy lub podniósł się szmer modlitw. Piotr słuchał ich, i twarz jaśniała mu coraz większą radością, albowiem wzrok jego zaledwie mógł ogarnąć owe tysiące wyznawców. Czuł, że dzieła dokonał, i wiedział już, że ta prawda, którą całe życie opowiadał, zaleje wszystko, jak fala, i że nic już powstrzymać jej nie zdoła. A tak myśląc, podnosił oczy ku górze i mówił: «Panie, kazaleś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazaleś mi założyć w nim stolicę swoją, więcem ją założył. To Twoje miasto teraz, Panie, a ja idę do Ciebie, bom się spracował bardzo».

Przechodząc więc koło świątyń, mówił im: «Chrystusowemi świątyniami będziecie». Patrzac na roje ludzi, przesuwających się przed jego oczyma, mówił im: «Chrystusowemi będą wasze dzieci sługami» — i szedł w poczuciu spełnionego podboju, świadom swej zasługi, świadom mocy, ukojony, wielki. Żołnierze poprowadzili go przez most Tryumfalny ¹⁾, jakby mimowoli dając jego tryumfowi świadectwo, i wiedli dalej, ku Nauhachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu, i uczyniła się gęstwa ludu tak wielką, iż centuryon, przywódzcy pretoryanom, domyśliwszy się wreszcie, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie. Twarze były przejęte wielkością chwili, uroczyste i zarazem pełne oczekiwania, niektórzy bowiem wyznawcy, przypominając sobie, iż przy śmierci Pana ziemia rozstępowała się z przerażenia, a umarli podnosili się z grobów, myśleli, że i teraz nastąpią może jakieś znaki widome, po których nie zatrze się przez wieki śmierć Apostoła. Inni mówili sobie nawet: «A nuż Pan wybierze godzinę Piotrową, aby zstąpić z nieba, jako był przyobieciał i uczy-

¹⁾ Pons Triumphalis.

nić sąd nad światem». W tej zaś myśli polecali się miłosierdziu Zbawiciela.

Ale naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem a wzgórzem Watykańskim. Żołnierze wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone, tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół.

Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdała, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu pole Marsowe, wyżej mauzoleum Augusta, niżej olbrzymie termy, które Nero właśnie był wznosić począł; jeszcze niżej teatr Pompejusza, a za niemi, miejscami widne, miejscami zakryte przez inne budowle Septa Julia, mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórze, oblepione domami olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgłę błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemnością, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemienne, wieczyste.

Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe

dziedzictwo. I mówił mu: «Odkupioneś jest i moje». A nikt, nietylko między żołnierstwem, kopiącem dół, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu, i że miną cesarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie.

Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostyi i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go zobaczyć.

Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić, i nastąpiła cisza niezmacona.

On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci:

— *Urbi et orbi!*

Błogosławieństwo papieża: miastu i swi

A w ten sam cudny wieczór inny oddział żołnierzy prowadził drogą Ostyjską Pawła z Tarsu ku miejscowości, zwanej Aquae Salviae. I za

nim również postępowała gromada wiernych, których nawrócił, a on poznawał bliższych znajomych, zatrzymywał się i rozmawiał z nimi, gdyż, jako obywatelowi rzymskiemu, straż okazywała mu większe względy. Za bramą, zwaną Tergemina, spotkał Plautillę, córkę prefekta Flawiusa Sabinusa, i widząc jej młodą twarz, zalaną łzami, rzekł: «Plautillo, córko Zbawienia wiecznego, odejdź w pokoju. Pożycz mi tylko zasłony, którą zawiążą mi oczy w chwili, gdy będę odchodził do Pana». I wzięwszy zasłony, szedł dalej, z twarzą tak pełną radości, z jaką robotnik, który przepracował dobrze dzień cały, wraca do domu. Myśli jego, podobnie do Piotrowych, były spokojne i pogodne, jak owo niebo wieczorne. Oczy patrzyły w zamyśleniu na równinę, która ciągnęła się przed nim, i na góry Albańskie, zanurzone w świetle. Rozpamiętywał o swoich podróżach, o trudach i pracy, o walkach, w których zwyciężał, i kościołach, które po wszystkich ziemiach i za wszystkimi morzami założył, i myślał, że dobrze zarobił na spoczynek. I on także dzieła dokonał. Czuł, że sięjby jego nie rozwieje już wiatr złości. Odchodził z tą pewnością, że w walce, którą jego prawda wypowiedziała światu, ona zwycięży, i niezmienna pogoda zstępowała mu do duszy. Droga na miejsce stracenia była daleka, i wie-

czór poczał zapadać. Góry stały się purpurowe, a podnóża ich zapadały zwolna w cień. Trzody wracały do domów. Gdzieś tam szły gromadki niewolników z narzędziami pracy na ramionach. Przed domami na drodze bawily się dzieci, spoglądając z ciekawością na przechodzący oddział żołnierzy. W tym zaś wieczorze, w tem przezroczem złotem powietrzu był nietylko spokój i ukojenie, ale jakowaś harmonia, która z ziemi zdawała się podnosić ku niebu. A Paweł słyszał ją, i serce przepelniało mu się radością na myśl, że do owej muzyki świata dodał dźwięk jeden, którego nie było dotąd, a bez którego ziemia cała była «jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiały».

I przypomniał sobie, jako uczył ludzi miłości, jako im mówił, iż choćby rozdali majątność na ubogich i choćby posiadli wszystkie języki, i wszystkie tajemnice, i wszystkie nauki, niczem nie będą bez miłości, która jest laskawa, cierpliwa, która złego nie wyrządza, nie pragnie czci, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa.

Oto mu wiek życia spłynął na nauczaniu ludzi takiej prawdy. A teraz mówił sobie w duszy: Jakaż siła jej sprostą i cóż ją zwycięży? Jakoż przytłumić ją zdoła Cezar, choćby dwa-

kroć miał tyle legionów, dwakroć tyle miast i mórz i ziem i narodów?

I szedł po zapłatę, jako zwycięzca.

Orszak porzucił wreszcie wielką drogę i skreślił na wschód wąską ścieżką ku Salwijskim Wodom. Na wrzosach leżało słońce czerwone. Przy źródle centuryon zatrzymał żołnierzy, albowiem chwila nadeszła.

Lecz Paweł, zarzuciwszy na ramię zaslonę Plautilli, aby zawiązać sobie nią oczy, wznosił po raz ostatni źrenice, pełne niezmiernego spokoju, ku odwiecznym blaskom wieczornym, i modlił się. Tak! chwila nadeszła, ale on widział przed sobą wielki gościniec z zórz, wiodący ku niebu, i w duszy mówił sobie te same słowa, które poprzednio, w poczuciu swej spełnionej służby i blizkiego końca, napisał: «Potykaniem dobrem potykałem się, wiarę-m zachowałem, zawodum dokonałem, naostatek przeznaczon mi jest wieniec sprawiedliwości».

ROZDZIAŁ LXXII.

A Rzym szalał po dawnemu, tak, iż zdawało się, że to miasto, które podbiło świat, poczyni się wreszcie w braku przewodników rozdzierać samo w sobie. Jeszcze zanim dla Apostolów wybiła ostatnia godzina, przyszedł spisek Pisona, a po nim kośba tak nieublagana najwyższych głów w Rzymie, że tym nawet, którzy widzieli bóstwo w Neronie, wydał się on w końcu bóstwem śmierci. Żaloba padła na miasto, strach rozsiadł się po domach i w sercach, ale portyki wieńczyły się bluszczem i kwiatami, albowiem niewolno było okazywać żalu po zmarłych. Ludzie, którzy budzili się zrana, zadawali sobie pytanie: czyja dziś kolej nadejdzie? Orszak mar, ciągnących za Cezarem, powiększał się z dniem każdym.

Piso przyplacił głową spisek, a za nim poszli Seneka i Lukan, Fenius Rufus i Plaucyusz Lateranus i Flawiusz Scewinus i Afraniusz Qui-

netianus i rozpustny towarzysz szaleństw Cezara, Tulliusz Senecio, i Prokulus i Araricus i Tugurius i Gratus i Silanus i Proksimus i Subrius Flavius, niegdyś oddany całą duszą Neronowi, i Sulpicius Asper. Jednych gubiła własna nikiemość, innych bojaźń, innych bogactwa, innych męstwo. Cezar, przerażony samą liczbą spiskowych, okrył żołnierstwem mury i trzymał miasto jakby w oblężeniu, wysyłając codziennie centurionów z wyrokami śmierci do podejrzanych domów. Skazani płaszczyli się jeszcze w listach, pełnych pochlebstw, dziękując Cezarowi za wyrok i zapisując mu część mienia, by resztę dla dzieci ocalić. Zdawało się w końcu, że Nero umyślnie przebiera wszelką miarę, by się przekonać, do jakiego stopnia znikczemnieli ludzie i jak długo zniosą krwawe rządy. Za spiskowymi wytracono ich krewnych, przyjaciół i prostych nawet znajomych. Mieszkańcy wspaniałych, wzniesionych po pożarze domów, wychodząc na ulicę, byli pewni, iż ujrzą całe szeregi pogrzebów. Pompejusz, Korneliusz, Martialis, Flawiusz Nepos i Statius Domicyusz zginęli, oskarżeni o brak miłości dla Cezara; Novius Priscus, jako przyjaciel Seneki; Rufiusza Kryspusa pozbawiono prawa ognia i wody dlatego, że niegdyś był mężem Poppei. Wielkiego Tracaszka zgubiła cnota, wielu przyplaciło życiem

szlachetne pochodzenie, nawet i Poppea padła ofiarą chwilowego uniesienia Cezara.

A senat plaszczył się przed straszliwym władcą, wznosił na jego cześć świątynie, czynił wota za jego głos, wieńczył jego posągi i przeznaczał mu kapłanów, jak bóstwu. Senatorowie ze drżeniem w duszy szli na Palatyn, by wielbić śpiew «Periodonicesa» i szaleć z nim razem wśród orgii nagich ciał, wina i kwiatów.

A tymczasem z dołu, na roli, przesiąkłej krwią i łzami, wzrastała cicho, ale coraz potężniej siejba Piotrowa.

ROZDZIAŁ LXXIII.

Winicyusz do Petroniusza:

«Wiemy i tu, Carissime, co dzieje się w Rzymie, a czego nie wiemy, to nam dopowiadają listy twoje. Gdy rzucisz kamień w wodę, fale rozchodzą się coraz dalej i dalej naokół, więc taka fala szalu i złości doszła z Palatynu aż do nas. Po drodze do Grecyi był tu wysłany przez Cezara Karinas, który złupił miasta i świątynie, by próżny skarb zapelnić. Za cenę potu i lez ludzkich buduje się w Rzymie «domus aurea». Być może, że świat nie oglądał dotąd takiego domu, ale też nie oglądał i krzywd takich. Ty przecie znasz Karinasa. Podobnym do niego był Chilo, zanim śmiercią nie odkupił życia. Lecz do leżących w naszym pobliżu miasteczek nie dotarli jego ludzie, może dlatego, że nie masz w nich świątyń i skarbów. Pytasz: czyśmy bezpieczni? Odpowiem ci tylko, żeśmy zapomniani, i niech ci to starczy za odpowiedź. Oto w tej

chwili, z portyku, pod którym piszę, widzę naszą spokojną zatokę, a na niej Ursusa w łodzi, zapuszczającego sieć w jasne tonie. Żona moja przędzie czerwoną wełnę obok mnie, a w ogrodach pod cieniem drzew migdałowych śpiewają nasi niewolnicy. O! co za spokój, Carissime, i jakie zapomnienie dawnych trwóg i boleści! Ale to nie Parki, jak piszesz, przędą tak słodko nić naszego żywota, to błogosławi nam Chrystus, umiłowany nasz Bóg i Zbawiciel. Żal i lzy znamy, bo nasza prawda każe nam płakać nad cudzą niedolą, ale nawet i w owych łzach tkwi nieznana wam pociecha, że kiedyś, gdy spłynie czas życia naszego, odnajdziem tych wszystkich drogich, którzy zginęli i za Boską naukę mają zginąć jeszcze. Dla nas Piotr i Paweł nie zmarli, lecz narodzili się w chwale. Dusze nasze ich widzą i, gdy*oczy płaczą, serca weselą się ich weselem. O tak, drogi, jesteśmy szczęśliwi szczęściem, jakiego nie zburzyć nie zdoła, ponieważ śmierć, która dla was jest końcem wszystkiego, dla nas będzie tylko przejściem do większego jeszcze spokoju, większego kochania, większej radości.

I tak nam płyną tu dni i miesiące w pogodzie serc. Słudzy nasi i niewolnicy wierzą również, jak i my, w Chrystusa, a że On miłość nakazał, więc miłujemy się wszyscy. Nieraz,

gdy słońce zachodzi, lub gdy księżyc błyszczy już na wodzie, rozmawiamy z Ligią o dawnych czasach, które dziś snem nam się wydają, a gdy pomyśle, jak ta droga głowa, którą dziś codzien kolyszę na piersiach, blizką była męki i zagłady, całą duszą wielbię mojego Pana, bo z tych rąk On jeden mógł ją wyrwać, ocalić z areny i wrócić mi na zawsze. O, Petroniuszu, widziałeś przecie, ile ta nauka daje pociechy i wytrwania w niedoli, ile cierpliwości i odwagi wobec śmierci, więc przyjeżdż i zobacz, ile daje szczęścia w zwykłych, powszednich dniach życia. Ludzie, widzisz, nie znali dotąd Boga, któregoby można miłować, przeto nie miłowali się i między sobą, i stąd szła ich niedola, bo, jako światło ze słońca, tak szczęście z miłości wypływa. Nie nauczyli ich tej prawdy ni prawodawcy, ni filozofowie, i nie było jej ni w Grecyi, ni w Rzymie, a gdy mówię: ni w Rzymie, to znaczy na ziemi całej. Oszła i zimna nauka stoików, do której garną się ludzie cnotliwi, hartuje serca, jak miecze, ale zobojętnia je raczej, zamiast je czynić lepszymi. Lecz po co ja mówię to tobie, któryś więcej się uczył i więcej rozumiesz ode mnie! Tyś przecie znał także Pawła z Tarsu i nieraz rozmawiałeś z nim długo, więc wiesz najlepiej, zali wobec prawdy, którą on opowiadał, wszystkie nauki waszych filozo-

fów i retorów nie są czczemi bańkami i pustym brzękiem słów bez znaczenia. Pamiętasz pytanie, które on ci zadał: «A gdyby Cezar był chrześcijaninem, załibyscie się nie czuli bezpieczniejsi, pewniejsi posiadania tego, co posiadacie, próżni trwóg i spokojni o wasze jutro?» Aleś ty mówił mi, że nasza prawda jest nieprzyjaciółką życia, a ja odpowiadam ci teraz, że, gdybym od początku listu powtarzał tylko dwa wyrazy: «Jestem szczęśliwy!», jeszczebym szczęścia mego wyrazić ci nie zdołał. Powiesz mi na to, że szczęście moje to Ligia! Tak, drogi! Dlatego, że kocham jej duszę nieśmiertelną, i że oboje milujemy się w Chrystusie, a w takiej miłości niemasz ni rozłączeń, ni zdrad, ni zmian, ni starości, ni śmierci. Bo, gdy minie młodość i uroda, gdy zwiędną ciała nasze i przyjdzie śmierć, miłość się ostoï, gdyż ostoją się dusze. Zanim oczy moje otworzyły się na światło, gotów byłem dla Ligii podpalić nawet dom własny, a teraz ci mówię: nie kochałem jej, bo kochać dopiero mnie Chrystus nauczył. W Nim jest źródło szczęścia i spokoju. Toć nie ja mówię, jeno oczywistość sama. Porównaj wasze podszyte trwogą rozkosze, wasze niepewne jutra upojenia, wasze orgie, podobne do styp pogrzebowych, z życiem chrześcijan, a znajdziesz gotową odpowiedź. Lecz abyś mógł lepiej porównać, przyjedź w nasze pachnące

cząbrem góry, do naszych cienistych gajów oliwnych, nad nasze pokryte bluszczem brzegi. Czeka cię tu spokój, jakiegoś dawno nie zaznał, i serca, które cię kochają prawdziwie. Tyś, mając duszę szlachetną i dobrą, powinien być szczęśliwy. Twój bystry umysł potrafi prawdę rozpoznać, a gdy poznasz, to ją pokochasz, bo może można być jej wrogiem, jak Cezar i Tygellin, ale obojętnym dla niej nikt być nie potrafi. O, mój Petroniuszu, oboje z Ligią cieszymy się nadzieją, że cię ujrzymy niezadługo. Bądź zdrów, szczęśliwy, i przybывaj».

Petroniusz odebrał list Winicyusza w Cumae, dokąd był wyjechał wraz z innymi augustyanami, dążącymi za Cezarem. Długoletnia jego walka z Tygellinem miała się ku końcowi. Petroniusz wiedział już, że musi w niej paść, i rozumiał tego powody. W miarę, jak Cezar z każdym dniem spadał coraz niżej do roli kome-dyanta, blazna i woźnicy, w miarę, jak grzązł coraz bardziej w chorobliwej, plugawej i zarazem grubej rozpuście, wykwinął «arbiter elegantiae» stawał mu się tylko ciężarem. Gdy Petroniusz nawet milczał, Nero widział w jego milczeniu przyganę, nawet gdy pochwalał, widział szyderstwo. Świetny patrycyusz drażnił jego miłość własną i wzbudzał zazdrość. Jego bogactwa i wspaniałe dzieła sztuki stały się

przedmiotem pożądlivości i władcy i wszechwładnego ministra. Oszczędzano go dotąd ze względu na wyjazd do Achai, w której jego smak, jego znajomość rzeczy greckich mogły się przydać. Lecz zwolna Tygellin poczał tłómaczyć Cezarowi, że Karinas przewyższa jeszcze smakiem i wiedzą Petroniusza i że lepiej od niego potrafi urządzać w Achai igrzyska, przyjęcia i tryumfy. Od tej chwili Petroniusz był zgubiony. Nie śmiano jednak przesłać mu wyroku w Rzymie. I Cezar i Tygellin przypominali sobie, że ten niby zniewieściał esteta, «czyniący z nocy dzień», zajęty tylko rozkoszą, sztuką i ucztami, gdy był prokonsulem w Bitynii, a potem konsulem w stolicy, okazał zadziwiającą pracowitość i energię. Uważano go za zdolnego do wszystkiego, a wiadano, że w Rzymie posiada miłość nie tylko ludu, lecz nawet pretoryanów. Nikt z poufnych Cezara nie umiał przewidzieć, jak w danym razie postąpi, zdawało się więc rzeczą roztropniejszą wywabić go z miasta i dosięgnąć dopiero na prowincyi.

W tym celu otrzymał zaproszenie, by wraz z innymi augustyanami przybył do Cumae, on zaś, chociaż domyślał się podstępu, wyjechał, może dlatego, by nie wystąpić z jawnym oporem, może, by pokazać raz jeszcze Cezarowi

i augustyanom wesolą, próżną wszelkich trosk twarz i odnieść ostatnie przedśmierne nad Tygellinem zwycięstwo.

Tymczasem ów oskarżył go natychmiast o przyjaźń z senatorem Scewinusem, który był duszą spisku Pisona. Ludzi Petroniusza, pozostałych w Rzymie, uwięziono, dom obstawiono strażą pretoryańską. Lecz on, dowiedziawszy się o tem, nie okazał ni trwogi, ni nawet zakłopotania i z uśmiechem rzekł do augustyanów, których podejmował we własnej wspaniałej willi w Cumae:

— Ahenobarbus nie lubi pytań wprost, więc zobaczycie, jak się zmiesza, gdy go zapytam: czy to on rozkazał uwięzić moją «familie» w stolicy?

Poczem zapowiedział im ucztę «przed dalszą podróżą» i właśnie czynił do niej przygotowania, gdy nadszedł list Winicyusza.

Petroniusz, odebrawszy go, zamyślił się nieco, po chwili jednak twarz zajaśniała mu zwykłą pogodą i wieczorem tegoż samego dnia odpisał, co następuje:

«Cieszę się waszem szczęściem i podziwiam wasze serca, Carissime, albowiem nie sądziłem, by dwoje zakochanych mogło o kimś trzecim i dalekim pamiętać. Wy zaś nie tylko nie zapomnieliście o mnie, ale chcecie mnie namówić

do Sycylii, by podzielić się ze mną waszym chlebem i waszym Chrystusem, który, jak piszesz, tak hojnie wam szczęścia przysparza.

Jeśli tak jest, czcicie go. Ja myślę, drogi, że Ligię powrócił ci także trochę Ursus, a trochę lud rzymski. Gdyby Cezar był innym człowiekiem, myślałbym nawet, że zaniechano dalszych prześladowań ze względu na twoje z nim powinowactwo przez tę wnuczkę, którą Tyberyusz oddał swego czasu jednemu z Winicyuszów. Skoro jednak mniemasz, że to Chrystus, nie będę sprzeczał się z tobą. Tak! nie żałujcie mu ofiar. Prometeusz również poświęcił się dla ludzi, ale, eheu! Prometeusz podobno jest tylko wymysłem poetów, ludzie zaś wiarogodni mówili mi, że Chrystusa na własne oglądali oczy. Ja razem z wami myślę, że to najuczciwszy z bogów.

Pytanie Pawła z Tarsu pamiętam i zgadzam się, że, gdyby na przykład Ahenobarbus żył wedle nauki Chrystusa, to możebym miał czas pojechać do was, do Sycylii. Wówczas pod cieniem drzew u źródeł, wiedlibyśmy rozmowy o wszystkich bogach i wszystkich prawdach, jak wiedli je niegdyś filozofowie greccy. Dziś krótką muszę ci dać odpowiedź.

Dwóch chcę znać tylko filozofów: jeden zo-

wie się Pyrron, drugi Anakreon. Resztę tanio ci sprzedać mogę wraz z całą szkołą greckich i naszych stoików. Prawda mieszka gdzieś tak wysoko, że sami bogowie nie mogą jej dojrzeć ze szczytów Olimpu. Tobie, carissime, wydaje się, że wasz Olimp wyższy jeszcze, i, stojąc na nim, wolisz na mnie: «Wejdz, a zobaczysz takie widoki, jakich nie widziałeś dotychczas!» Być może. Ale ja ci odpowiadam: «Przyjacielu! nóg nie mam!» I gdy doczytasz do końca ten list, sądzę, że przyznasz mi słusność.

Nie! szczęśliwy małżonku królowny-jutrzenki! Wasza nauka nie dla mnie. Mamże milować Bityńczyków, którzy noszą moją lektykę, Egipcjan, którzy palą w moich kąpielach, Ahenobarba i Tygellina? Na białe kolana Charytek przysięgam ci, że, choćbym chciał, nie potrafię. W Rzymie jest najmniej sto tysięcy ludzi, mających albo krzywe łopatki, albo grube kolana, albo wyschłe łydki, albo okrągłe oczy, albo za wielkie głowy. Czy każesz mi ich kochać także? Gdzież mam odnaleźć tę miłość, skoro jej w sercu nie czuję? a jeśli wasz bóg chce, bym milował ich wszystkich, czemu w swojej wszechmocy nie dał im kształtu na przykład Niobidów, których na Palatynie widziałeś? Kto kocha piękność, dla tego samego nie może kochać brzydoty.

Inna rzecz nie wierzyć w naszych bogów, ale miłować ich można, jak miłowali ich Fidyasz i Praksyteles, i Miron, i Skopas, i Lizyasz.

Gdybym nawet chciał iść tam, gdzie mnie prowadzisz, nie mogę. Że zaś nie chcę, a więc po dwakroć nie mogę. Ty wierzysz, jak Paweł z Tarsu, że kiedyś, z drugiej strony Styksu, na jakichś polach Elizejskich będziecie widzieli waszego Chrystusa. Dobrze! Niech ci sam wówczas powie, czyby mnie przyjął z mojami gemmami, z moją wazą myrreńską i z wydaniem od Sozyszów, i z moją Złotowłosą. Na myśl o tem śmiać mi się chce, mój drogi, boć przecie nawet i Paweł z Tarsu mówił mi, że dla Chrystusa trzeba się wyrzec różanych wienców, uczt i rozkoszy. Wprawdzie mi inne obiecywał szczęście, alem mu odrzekł, żem na takie inne za stary, i że różami zawsze będą się cieszyły oczy moje, a woń fijołków także mi zawsze milszą będzie, niż woń brudnego «bliźniego» z Subury.

To są przyczyny, dla których wasze szczęście nie dla mnie. Lecz jest prócz tego jeszcze jedna, którą ci schował naostatek. Oto mnie wola Thanatos. Dla was poczyna się świt życia, a dla mnie słońce już zaszło, i zmierzch ogarnia mi głowę. Innemi słowy: ja muszę umrzeć, carissime.

Nie warto o tem mówić długo. Tak musiało się skończyć. Ty, który znasz Ahenobarba, z łatwością to zrozumiesz. Tygellinus mnie zwyciężył, a raczej nie! To tylko moje zwycięstwa dobiegły końca. Żyłem, jak chciałem, i umrę, jak mi się podoba.

Nie bierzcie tego do serca. Żaden bóg nie obiecał mi nieśmiertelności, więc nie spotyka mnie rzecz niespodziana. Przytem ty mylisz się, Winicyuszu, twierdząc, że tylko wasze bóstwo uczy umierać spokojnie. Nie. Świat nasz wie-dział przed wami, że, gdy ostatnia czara wychylona, czas odejść, spocząć, i umie to jeszcze czynić pogodnie. Plato powiada, że cnota jest muzyką, a życie mędrca harmonią. Jeśli tak jest, to umrę, jak żyłem, cnotliwie.

Chciałbym twą boską małżonkę pożegnać jeszcze słowy, któremi powitałem ją niegdyś w domu Aulusów: «Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom, a równej tobie nie znam».

Więc, jeśli dusza jest czemś więcej, niż mnie-ma Pyrron, to moja zaleci do was po drodze na krańce Okeanosa i siedzie przy waszym domu w postaci motyla, albo, jak wierzą Egipcyanie, krogulca.

Inaczej przybyć nie mogę.

A tymczasem, niech wam Sycylia zmieni się
w ogród Hesperyd, niech polne, leśne i źródlane
boginki sypią wam kwiaty po drodze, a po
wszystkich akantach, w kolumnach waszego
domu, niech gnieźdzą się białe gołębie».

ROZDZIAŁ LXXIV.

Jakoż Petroniusz nie mylił się. We dwa dni
później młody Nerwa, zawsze mu życzliwy i od-
dany, przysłał do Cumae swego wyzwolenca
z wiadomościami o wszystkim, co działo się
na dworze Cezara.

Zguba Petroniusza była już postanowiona.
Nazajutrz w wieczór zamierzano wysłać do niego
centuryona z rozkazem, aby zatrzymał się w Cu-
mae i czekał tam dalszych rozporządzeń. Na-
stępny posłaniec, wyprawiony w kilka dni póź-
niej, miał przynieść mu wyrok śmierci.

Petroniusz wysłuchał wieści wyzwolenca z nie-
zmąconą pogodą, poczem rzekł:

— Zaniesiesz swemu panu jedną z waz mo-
ich, którą ci wręczę przed drogą. Powiedz mu
też ode mnie, że mu dziękuję z całej duszy, gdyż
w ten sposób będę mógł uprzędzić wyrok.

I nagle począł się śmiać, jak człowiek, który,

wpadłszy na doskonałą myśl, cieszy się z góry jej wykonaniem.

A tegoż jeszcze wieczoru jego niewolnicy rozbiegli się, zapraszając wszystkich bawiących w Cumae augustyanów i wszystkie augustyanki na ucztę do wspaniałej willi arbitra elegancyi.

On zaś sam pisał w godzinach popołudniowych w bibliotece, poczem wziął kąpiel, po której kazał się ubrać westyplikom, i, świetny, strojny, podobny do bogów, zaszedł do triclinium, by rzucić okiem znawcy na przygotowania, a następnie do ogrodów, gdzie pacholeta i młode Greczynki z wysp wily z róż wieńce do wieczery.

Na twarzy jego nie było widać najmniejszej troski. Służba poznała tylko z tego, że ucztą będzie czemś nadzwyczajnem, iż rozkazał dać niezwykle nagrody tym, z których był zadowolony, zaś lekką chłostę wszystkim, których robota nie przypadła mu do smaku, lub którzy przedtem jeszcze zasłużyli na naganę i karę. Cytarzystom i śpiewakom polecił z góry hojnie zapłacić, a w końcu, siadłszy w ogrodzie pod bukiem, przez którego liście przedzierały się promienie słoneczne, pstrząc ziemię jasnymi plamami, wezwał do siebie Eunice.

Przyszła, ubrana białą, z gałązką mirtu na

włosach, cudna, jak Charyta, on zaś posadził ją koło siebie i, lekko dotknawszy palcami jej skroni, począł patrzeć na nią z takim rozmiłowaniem, z jakim, znawca patrzy na boski posąg, który wyszedł z pod dłota mistrza.

— Eunice, — rzekł do niej — czy ty wiesz, że oddawna już nie jesteś niewolnicą?

A ona podniosła na niego swoje spokojne, błękitne, jak niebo oczy, i poczęła zaprzeczać ruchem głowy.

— Jestem, panie, zawsze — odrzekła.

— Lecz może tego nie wiesz, — mówił dalej Petroniusz — że ta willa i ci niewolnicy, którzy tam wiją wieńce, i wszystko, co w niej jest, i pola, i stada, należą od dziś do ciebie.

Eunice, usłyszawszy to, odsunęła się nagle od niego i glosem, w którym zabrzmiał nagły niepokój, zapytała:

— Czemu mi to mówisz, panie?

Następnie zbliżyła się znów i poczęła patrzeć na niego, mrugając z przerażenia oczyma. Po chwili twarz jej stała się bladą, jak płótno, on zaś uśmiechał się ciągle i wreszcie rzekł jedno tylko słowo:

— Tak!

Nastąpiła chwila milczenia, tylko lekki powiew poruszał liśćmi buku.

Petroniusz mógł istotnie sądzić, że ma przed sobą posąg, wykuty z białego marmuru.

— Eunice! — rzekł: — chcę umrzeć pogodnie.

A dziewczyna, spojrzawszy nań z rozdzierającym uśmiechem, wyszeptwała:

— Słucham cię, panie.

Wieczorem goście, którzy bywali już nieraz na ucztach Petroniusza i wiedzieli, że w porównaniu z niemi nawet ucztę Cezara wydają się nudne i barbarzyńskie, poczęli się schodzić tłumnie, nikomu zaś ani przez myśl nie przyszło, by to miał być «symposion» ostatni. Wielu wiedziało wprawdzie, że nad wykwintnym arbitrem zawisły chmury niechęci Cezara, ale zdarzało się już to tyle razy, i tyle razy Petroniusz umiał je rozproszyć jakimś jednym zręcznym postępkim, lub jednym śmiałym słowem, że naprawdę nikt nie przypuszczał, by miało mu grozić poważne niebezpieczeństwo. Jego wesola twarz i zwykły niedbały uśmiech utwierdziły do reszty wszystkich w tem mniemaniu. Śliczna Eunice, której powiedział, że chce umrzeć pogodnie, a dla której każde jego słowo było jakby słowem wyroczni, miała w boskich rysach spokój zupełny i jakieś dziwne światła w źrenicach, które można było za radość poczytać. We drzwiach triclinium pacholeta z włosami w zło-

tych siatkach kładły wieńce z róż na głowy przybyłych, ostrzegając ich zarazem wedle zwyczaju, by przestępowali próg prawą nogą. W sali rozchodził się lekki zapach fijołków; światła płonęły w różnokolorowych szklach aleksandryjskich. Przy ławach stały greckie dziewczątka, mające zwilżać woniami stopy gości. Pod ścianami cytrzyści i śpiewacy ateńscy czekali znaku swego chorowoda.

Nakrycie stołu jaśniało przepychem, lecz przepych ów nie raził, nie ciążył nikomu i zdawał się sam przez się wykwić. Weselość i swoboda rozlewały się wraz z wonią fijołków po sali. Goście, wchodząc tu, czuli, że nie zawisnie nad nimi ni przymus, ni groźba, jak to bywało u Cezara, gdzie niedość górne lub nawet niedość trafne pochwały śpiewu lub wierszy można było życiem przypłacić. Wraz też na widok światła, bluszczowych kruż, win lodowaciejących w śniegowej pościeli i wyszukanych potraw, rozochociły się serca biesiadników. Rozmowy poczęły brzęczeć raźnie, jak brzęczy rój pszczoł nad okrytą kwiatami jabłonią. Czasem tylko przerywał je wybuch wesołego śmiechu, czasem szmer pochwał, czasem zbyt głośny pocałunek, złożony na białym ramieniu.

Goście, pijąc wino, strącali z czasz po kilka kropel bogom nieśmiertelnym, by zjednać ich

opiekę i przychyłność dla gospodarza. Nic to, że wielu nie wierzyło w bogów. Tak kazał obyczaj i przesąd. Petroniusz, leżąc obok Eunice, rozmawiał o nowinach rzymskich, o najnowszych rozwodach, o miłości, miłostkach, o wyścigach, o Spikulusie, który w ostatnich czasach wslawił się na arenie, i o najnowszych książkach, jakie ukazały się u Atractusa i Sozyuszów. Strząsając wino, mówił, że strząsa tylko na cześć pani Cypryjskiej, która jest starszą i większą od wszystkich bogów, jedynie nieśmiertelną, trwałą, władnącą.

Rozmowa jego była jak promień słońca, który coraz to inny przedmiot oświeca, lub jak letni powiew, który porusza kwiaty w ogrodzie. Wreszcie skinął na chorowoda, i na ten znak zabrzękły lekko cytry, młode zaś głosy ozwały się im do wtóru. Potem tancerki z Kos, rodaczki Eunice, poczęły migotać z pod przezroczystych osłon różowemi ciałami. W końcu egipski wróżbita począł przepowiadać gościom przyszłość z ruchu tęczowych dorad, zamkniętych w kryształowem naczyniu.

Lecz, gdy już tych zabaw mieli do sytu, Petroniusz uniósł się nieco na swem syryjskiem wezglowiu i rzekł zniechęcenia:

— Przyjaciele! wybaczenie mi, że na uczcie z prośbą do was wystąpię: oto niech każdy

przyjmie ode mnie w darze tę czarę, z której najpierwej strząsnął na cześć bogów i na pomysłność moją.

Czary Petroniusza lśniły od złota, klejnotów i rzeźb mistrzowskich, więc, jakkolwiek rozdawanie podarków było rzeczą zwykłą w Rzymie, radość zalała serca biesiadników. Jedni poczęli mu dziękować i sławić go głośno; drudzy mówili, że nawet sam Jowisz nie uczcił nigdy bogów w Olimpie darem podobnym; byli nakoniec i tacy, którzy wahali się z przyjęciem, tak rzecz przechodziła miarę powszednią.

On zaś podniósł w górę krużę murreńską, do tęczy z blasku podobną i wprost bezcenną, poczem rzekł:

— A oto jest ta, z której uląłem na cześć pani Cypryjskiej. Niechaj jej odtąd nieczyje usta nie dotkną, i niechaj żadne ręce na cześć innej bogini z niej nie uleją.

I rzucił kosztowne naczynie na posypaną liliowymi kwiatami szafranu posadzkę, a gdy rozbilo się w drobne szczątki, rzekł, widząc naokół zdumione spojrzenia:

— Drodzy, weselcie się, zamiast zdumiewać. Starość, bezsilność, smutni to towarzysze ostatnich lat życia. Ale ja wam dam dobry przykład i dobrą radę: można, widzicie, na nich nie cze-

kać, i, nim nadejdą, odejść dobrowolnie, jak ja odchodzę.

— Co chcesz uczynić? — spytało z niepokojem kilka głosów.

— Chcę się weselić, pić wino, słuchać muzyki, patrzeć na te oto boskie kształty, które obok mnie widzicie, a potem zasnąć z uwieczoną głową. Już pożegnałem się z Cezarem, i czy chcecie posłuchać, com mu na pożegnanie napisał?

To rzekłszy, wydobyl z pod purpurowego wezgłowia list i poczał czytać, co następuje:

«Wiem, o Cezarze, że wyglądasz z niecierpliwością mego przybycia, i że twoje wierne serce przyjaciela tęskni dniami i nocami za mną. Wiem, że obsypałbyś mnie darami, powierzył mi prefekturę pretoryi, a Tygellinowi kazał być tem, do czego stworzyli go bogowie, dozorcą mulów w tych twoich ziemiach, któreś po otruciu Domicyi odziedziczył. Wybacz mi jednak, bo oto przysięgam ci na Hades, a w nim na cienie twej matki, żony, brata i Seneki, że przybyć do ciebie nie mogę. Życie jest wielkim skarbem, mój drogi, jam zaś z owego skarbu umiał najcenniejsze wybierać klejnoty, lecz w życiu są także rzeczy, których już dłużej znieść nie potrafię. Och, nie myśl, proszę, że mnie zraziło to, iżś zabił matkę, i żonę, i brata, iżś spalił

Rzym i wysłał do Erebu wszystkich uczciwych ludzi w twem państwie. Nie, mój prawnuku Chronosa. Śmierć jest udziałem ludzkiego pogłowia, po tobie zaś innych postępków nie było się można spodziewać. Ale kaleczyć sobie uszy jeszcze przez lata całe twoim śpiewem, widzieć twe Domicyuszowskie cienkie nogi, miotane tańcem pyrrrejskim, słuchać twej gry, twej deklamacyi i twoich poematów, biedny poeto z przedmieścia! — oto co przewyższyło moje siły i wzbudziło do śmierci ochotę. Rzym zatyka uszy, słuchając ciebie, świat cię wysmiewa, ja zaś dłużej już za ciebie płonąć się nie chcę, nie mogę. Wycie cerbera, mój miły, choćby do twego śpiewu podobne, mniej będzie dla mnie dotkliwe, bom nie był mu nigdy przyjacielem i za głos jego wstydzić się nie mam obowiązku. Bądź zdrów, lecz nie śpiewaj, zabijaj, lecz nie pisz wierszy, truj, lecz nie tańcz, podpalaj, lecz nie graj na cytrze, tego ci życzy i tę ostatnią przyjacielską radę posyła ci Arbiter elegantiae».

Biesiadnicy struchleli, wiedzieli bowiem, że, gdyby Nero państwo utracił, cios byłby dla niego mniej okrutnym. Zrozumieli też, że człowiek, który taki list napisał, musi umrzeć, a przytem ich samych obleciał strach błądy, że takiego listu słuchali.

Lecz Petroniusz roześmiał się tak szczerem

i wesolym śmiechem, jakby o najniewinniejszy żart chodziło, poczem powiódl oczyma po obecnych i ozwał się:

— Weselcie się i odpędźcie daleko trwogę. Nikt nie potrzebuje się chwalić, że tego listu wysłuchał, ja zaś pochwałę się nim chyba Charonowi w chwili przeprawy.

Poczem skinął na Greka lekarza i wyciągnął do niego ramię. Biegły Grek w mgnieniu oka przewiązał je złotą przepaską i otworzył żyłę na zgięciu ręki. Krew trysnęła na wezglowie i oblala Eunice, która, podparwszy głowę Petroniusza, pochyliła się nad nim i rzekła:

— Panie, czyś ty myślał, że ja cię opuszczę? Gdyby bogowie chcieli mi dać nieśmiertelność, a Cezar władzę nad światem, poszłabym jeszcze za tobą.

Petroniusz uśmiechnął się, podniósł się nieco, dotknął ustami jej ust i odpowiedział:

— Pójdź ze mną.

Potem zaś dodał:

— Tyś mnie naprawdę kochała, boska moja!...

A ona wyciągnęła ku lekarzowi swe różane ramię, i po chwili krew jej poczęła się zlewać i łączyć z jego krwią.

Lecz on dał znak chorowodowi, i znów ozwał się cytry i głosy. Śpiewano naprzód «Harmodiosa», a potem zabrzmiała pieśń Anakreonta,

w której poeta skarży się, że znalazł raz pod drzwiami zziębłe i zaplakanie dziecko Afrodyty: zabrał je, ogrzał, wysuszył skrzydelka, a ono, niewdzięczne, przeszło mu za nagrodę serce swym grottem, i odtąd opuściła go spokojność...

Oni zaś, wsparci o siebie, piękni, jak dwa bóstwa, słuchali, uśmiechając się i błędąc. Petroniusz, po skończonej pieśni, polecił roznosić dalej wino i potrawy, potem zaczął rozmawiać z siedzącymi w pobliżu biesiadnikami o rzeczach blahych, ale miłych, o jakich zwykle rozmawiano przy ucztach. Wreszcie przywołał Greka, by mu podwiązał na chwilę żyły, albowiem mówił, że morzy go sen, i chciałby jeszcze oddać się «Hypnosowi», zanim Thanatos uśpi go na zawsze.

Jakoż usnął. Gdy się rozbudził, głowa dziewczyny leżała już, podobna do białego kwiatu, na jego piersiach. Wówczas oparł ją na wezglowiu, by się jej raz jeszcze przypatrzeć. Zaczem znowu rozwiązano mu żyły.

Śpiewacy na jego skinienie zanucili nową pieśń Anakreonta, a cytry towarzyszyły im ci-cho, tak, aby słów nie zagłuszać. Petroniusz bladł coraz bardziej, gdy jednak ostatnie dźwięki umilkły, zwrócił się raz jeszcze do biesiadników i rzekł:

— Przyjaciele, przyznajcie, że razem z nami ginie...

Lecz nie mógł dokończyć; ramię jego objęło ostatnim ruchem Eunice, poczem głowa opadła mu na wezglowie — i umarł.

Biesiadnicy jednak, patrząc na te dwa białe ciała, podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze, że z niemi razem ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu, to jest jego poezya i piękność.

E P I L O G.

Początkowo bunt legij galijskich pod wodzą Windeksa nie zdawał się być zbyt groźnym. Cezar miał dopiero trzydziesty pierwszy rok życia, i nikt nie śmiał się spodziewać, by świat wnet już miał być wolny od duszącej go zmory. Wspomniano, że wśród legij nieraz już, jeszcze za dawniejszych panowań, przychodziło do rozruchów, które jednak mijaly, nie pociągając za sobą zmiany panowań. Tak za Tyberyusza Drusus usmierzył bunt legii pannońskich, a Germanikus nadreńskich. «Któżby zresztą — mówili ludzie — mógł objąć po Neronie panowanie, gdy wszyscy niemal potomkowie boskiego Augusta wyginęli za jego rządów?» Inni, patrząc na kolosy, wyobrażające go jako Herkulesa, mimowoli wyobrażali sobie, że żadna siła takiej potęgi nie złamie. Byli i tacy, którzy, od czasu,

jak wyjechał do Achai, tęsknili po nim, albowiem Helius i Polytethes, którym zostawił rządy Rzymu i Italii, zarządzili jeszcze krwawiej od niego.

Nikt nie był pewny życia i mienia. Prawo przestało bronić. Zagasła godność ludzka i cnota, rozluźniły się węzły rodzinne, a znikczemniałe serca nie śmiały dopuścić nawet nadziei. Z Grecyi dochodziły echa o niesłychanych tryumfach Cezara, o tysiącach koron, które zdobył, i tysiącach współzawodników, których pokonał. Świat wydawał się jedną orgią, krwawą i blazeńską, lecz zarazem wszczepiło się mniemanie, że przyszedł kres cnocie i rzeczom poważnym, że nadszedł czas tańca, muzyki, rozpusty, krwi, i że odtąd tak płynąć już musi życie. Sam Cezar, któremu bunt otwierał drogę do nowych łupiestw, niewiele się troszczył o zbuntowane legie i Windeksa, a nawet często radość swoją z tego powodu wypowiadał. Z Achai nie chciał też wyjeżdżać i dopiero, gdy Helius doniósł mu, że dalsza zwłoka może go o utratę państwa przyprowadzić, wyruszył do Neapolu.

Tam znów grał i śpiewał, puszczając mimo uszu wieści o coraz groźniejszym przebiegu zdarzeń. Próżno Tygellinus tłumaczył mu, że dawne bunty legionów nie miały wodza, teraz zaś stoi na czele mąż, z dawnych królów akwitańskich

pochodzący, a przytem wojownik sławny i doświadczony. «Tu — odpowiadał Neron — słuchają mnie Grecy, którzy sami jedni słuchać umieją i sami jedni godni są mego śpiewu». Mówił, że pierwszym jego obowiązkiem jest sztuka i sława. Lecz, gdy wreszcie doszła go wieść, że Windeks ogłosił go lichym artystą, zerwał się i wyjechał do Rzymu. Rany, zadane mu przez Petroniusza, które zagoił pobyt w Grecyi, otwarły się w jego sercu nanowo, i chciał u senatu szukać sprawiedliwości za krzywdę tak niesłychaną.

Po drodze, ujrawszy grupę, odlaną z brązu, przedstawiającą wojownika Galla, obalonego przez rzymskiego rycerza, poczytał to za dobrą wróżbę i odtąd, jeśli wspominał zbuntowane legie i Windeksa, to jedynie dlatego, by się z nich naśmiewać. Wjazd jego do miasta zgasił wszystko, co dotąd widziano. Wjechał na tym samym wozie, na którym niegdyś August odbywał tryumf. Zburzono jeden łuk cyrku, by otworzyć wejście pochodowi. Senat, rycerze i nieprzejrzane tłumy wyległy na jego spotkanie. Mury drżały od okrzyków: «Witaj Auguście, witaj Herkulesie! witaj boski, jedyny, Olimpijski, Pythyjski, nieśmiertelny!» Za nim niesiono zdobyte wieńce, nazwy miast, w których tryumfował i wypisane na tablicach imiona mistrzów, których pokonał.

Nero sam był upojony i pytał ze wzruszeniem otaczających go augustyanów: czem był tryumf Cezara przy jego tryumfie? Myśl, by ktokolwiek ze śmiertelnych miał podnieść rękę na takiego mistrza-półboga, nie chciała mu się w głowie pomieścić. Czuł się istotnie Olimpijskim i przez to samo bezpiecznym. Zapal i szaleństwo tłumów podniecały szal jego własny. Jakoż mogło się wydawać w dniu jego tryumfu, że nie tylko Cezar i miasto, ale świat cały stracił zmysły.

Pod kwiatami i stołami wieńców nie umiał nikt dojrzeć przepaści. Tegoż jednak jeszcze wieczora kolumny i mury świątyń pokryły się napisami, w których wytykano zbrodnie Cezara, grożono mu blizką pomstą i wyśmiewano go, jako artystę. Z ust do ust przechodziło zdanie: «Póty śpiewał, dopóki kogutów (gallos) nie zbudził». Trwożne wieści poczęły obiegać miasto i rosły do potwornych rozmiarów. Niepokój ogarnął augustyanów. Ludzie w niepewności, co przyszłość pokaże, nie śmieli wypowiadać życzeń nadziei, nie śmieli niemal czuć i myśleć.

On zaś żył dalej tylko teatrem i muzyką. Zajmowały go nowo wynalezione instrumenty muzyczne i nowy organ wodny, z którym czyniono próby na Palatynie. W zdziecinniałym

i niezdolnym do jednej rady lub czynu umyśle wyobrażał sobie, iż daleko sięgające w przyszłość zamiary przedstawień i widowisk odwrócić samem niebezpieczeństwem. Najbliżsi, widząc, że zamiast starać się o środki i wojsko, stara się jedynie o wyrażenia, trafnie malujące grozę, poczęli tracić głowy. Inni atoli mniemali, że tylko zagłusza siebie i drugih cytatami, mając w duszy trwogę i niepokój. Jakoż postęпки jego stały się gorączkowe. Codzień tysiące innych zamiarów przelatywały mu przez głowę. Chwilami zrywał się, by przeciw niebezpieczeństwu wybieżyć, kazał pakować na wozy cytry i lutnie, zbroić młode niewolnice, jako amazonki, a zarazem ściągać legie ze Wschodu. Czasem znów myślał, że nie wojną, ale śpiewem skończy bunt galijskich legii. I uśmiechała mu się dusza do tego widowiska, które miało nastąpić po przednaniu pieśnią żołnierzy. Oto legionieci otaczają go ze łzami w oczach, on zaś zanuci im epinicium, po którym złota epoka pocznie się dla niego i Rzymu. Czasem znów wołał o krew; czasem oświadczał, że poprzestanie na wielkorządztwie w Egipcie; wspominał wróżbitów, którzy przepowiadali mu panowanie w Jeruzalem, albo rozczulał się myślą, że jako wędrowny śpiewak, będzie zarabiał na chleb powszedni, a miasta i kraje uczczą w nim już nie Cezara,

pana ziemskiego okręgu, ale pieśniarza, jakiego nie wydała dotąd ludzkość.

I tak rzucił się, szalał, grał, śpiewał, zmieniał zamiary, zmieniał cytaty, zmieniał życie swoje i świata w jakiś sen niedorzeczny, fantastyczny i straszny zarazem, we wrzaskliwą hecę, złożoną z nadętych wyrażen, lichych wierszy, jęków, lez i krwi, a tymczasem chmura na Zachodzie rosła i potężniała z dniem każdym. Miara była przebrana, blażeńska komedia miała się widocznie ku końcowi.

Gdy wieści o Galbie i przyłączeniu się Hiszpanii do buntu doszły do jego uszu, wpadł we wściekłość i szal. Podruzgotał czary, przewrócił stół przy uczcie i wydał rozkazy, których ni Helius, ni sam Tygellin nie śmieli wykonać. Wymordować Gallów, zamieszkałych w Rzymie, potem podpalić jeszcze raz miasto, wypuścić zwierzęta z arenaryów, a stolicę przenieść do Aleksandryi, wydało mu się dziełem wielkiem, zdumiewającym i łatwym. Ale już dni wszechmocy jego minęły, i nawet współnicy dawnych zbrodni poczęli nań patrzeć jak na szaleńca.

Śmierć Windeksa i niezgoda zbuntowanych legii zdawały się jednak znów przechylać szalę na jego stronę. Już nowe uczty, nowe tryumfy i nowe wyroki zapowiedziane były w Rzymie, gdy pewnej nocy z obozu pretoryanów przybył

na spienionym koniu goniec, donosząc, że w samym mieście żołnierze podnieśli chorągiew buntu i okrzyknęli Galbę Cezarem.

Cezar spał w chwili przybycia gońca, lecz zbudziwszy się, próżno wołał na strażę przyboczne, czuwające nocami u drzwi komnat. W pałacu była już pustka. Niewolnicy tylko rabowali w odleglejszych zakątkach, co się naprędce zrabować dało. Lecz jego widok zestraszyl ich, on zaś błakał się samotny po domu, napelniając go okrzykami trwogi i rozpacz.

Wreszcie jednak wyzwolenicy: Faon, Spirus i Epafrodyt, przybyli mu na ratunek. Chcieli, by uciekał, mówiąc, że niema chwili do stracenia, lecz on ludził się jeszcze. A gdyby, ubrany w żałobę, przemówił do senatu, czyż senat oparłby się jego łzom i wymowie? Gdyby użył całej sztuki krasomówczej, całej wymowy i zdolności aktorskiej, czy ktokolwiek w świecie zdolalby się mu oprzeć? Czyby mu nie dano choć prefektury Egiptu?

A oni, przywykli do pochlebstw, nie śmieli jeszcze wprost zaprzeczyć, ostrzegli go tylko, że nim zdola dojsć do Forum, lud rozerwie go na szczątki, i zagrozili, że jeśli natychmiast na koni nie siędzie, i oni opuszczą go także.

Faon ofiarował mu schronienie w swej willi, leżącej za bramą Nomentańską. Po chwili siedli

na koń i, okrywszy głowy płaszczami, pomknęli ku krańcom miasta. Noc bladła. Na ulicach panował już jednak ruch, zwiastujący nadzwyczajność chwili. Żołnierze to pojedynczo, to małymi oddziałami rozsypali się po mieście. Niedaleko już obozu koń Cezara uskoczył nagle w bok na widok trupa. Wówczas płaszcz zsunął się z głowy jeźdźcy, i żołnierz, który w tej samej chwili przesuwał się obok niego, poznał władcę, lecz zmieszany niespodzianem spotkaniem, oddał mu pokłon wojskowy. Przejeżdżając koło obozu pretoryanów, usłyszeli grzmiące okrzyki na cześć Galby. Nero zrozumiał nakoniec, że zbliża się godzina śmierci. Opanował go przestrach i wyrzuty sumienia. Mówił, że widzi przed sobą ciemność w kształcie czarnej chmury, z chmury zaś owej wychylają się ku niemu twarze, w których poznaje matkę, żonę i brata. Zęby jego kłapały z przerażenia, a jednak komedyancka jego dusza znajdowała jakby jakiś urok w grozie chwili. Być wszechwładnym panem ziemi i stracić wszystko wydawało mu się szczytem tragedyi. I wierny sobie, grał pierwszą w niej rolę do końca. Opanowała go gorączka cytat i namiętna chęć, by obecni zapamiętali je dla potomności. Chwilami mówił, że chce umrzeć i wołał o Spikulusa, który zabijał najzręczniejsze ze wszystkich gladyatorów. Chwilami deklamo-

wał. «Matka, małżonka, ojciec na śmierć mnie wzywają!» Blyski nadziei budziły się w nim jednak od czasu do czasu, cześć i dziecinność. Wiedział, że idzie śmierć, i nie wierzył w nią zarazem.

Bramę Nomentańską zastali otwartą. Jadąc dalej, przesunęli się koło Ostyanum, gdzie nauczał i chrzczył Piotr. O świcie byli w willi Faona.

Tam wyzwolenicy nie ukrywali mu już dłużej, że czas umrzeć, więc kazał kopać dla siebie dół i legł na ziemi, by mogli wziąć miarę dokładną. Lecz na widok wyrzucanej ziemi, ogarnął go strach. Tłusta twarz jego pobladła, a na czole osiadły mu, na kształt kropel rannej rosy, krople potu. Począł zwłóczyć. Głosem zarazem drżącym i aktorskim oświadczył, że chwila jeszcze nie nadeszła, poczem znów ją cytował. W końcu prosił, by go spalono. «Jakiż artysta ginie!» — powtarzał jakby ze zdumieniem.

Tymczasem przybył goniec Faona z doniesieniem, że senat wydał już wyrok, i że «parricida» ma być ukarany wedle dawnego zwyczaju.

— Jakiż to zwyczaj? — spytał białemi ustami Nero.

— Szyję ci chwycą w widły i zasmagają cię na śmierć, a ciało wrzucą w Tyber! — odrzekł szorstko Epafrodyt.

On zaś roztworzył płaszczyz na piersiach.

— A więc czas! — rzekł, spojrzawszy w niebo.

I jeszcze raz powtórzył:

— Jakiż artysta ginie!

W tej chwili rozległ się tętent koni. To centuryon na czele żołnierzy przybywał po głowę Ahenobarba.

— Spiesz się! — zawołali wyzwolenicy.

Nero przyłożył nóż do szyi, lecz klął się tylko dłonią bojaźliwą, i widać było, że nigdy nie ośmieli się zagłębić ostrza. Wówczas niespodzianie Epafrodyt popchnął mu rękę, i nóż wszedł aż po głównię, a jemu oczy wyszły na wierzch, straszne, ogromne, przerażone.

— Przynoszę ci życie! — zawołał, wchodząc centuryon.

— Za późno — odrzekł chrapliwym głosem Nero.

Poczem dodał:

— Oto jest wierność!

W mgnieniu oka śmierć poczęła obejmować mu głowę. Krew z grubego karku bluzgała czarnym strumieniem na ogrodowe kwiaty. Nogi jego poczęły kopać ziemię — i skonał.

Wierna Akte owinęła go nazajutrz w kosztowne tkaniny i spaliła na przepelnionym wonościami stosie.

I tak minął Nero, jak mija wichry, burza, pożar, wojna lub mór; a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu.

Wedle zaś dawnej bramy Kapeńskiej wznosi się dzisiaj maleńka kapliczka z zatartym nieco napisem: *Quo vadis, Domine?*

KONIEC TOMU TRZYDZIESTEGO PIĄTEGO.

BIBLIOTEKA PAŃSTWA
PRZY
PAŃST. SEMIN. NAUCZ.
w Lesnej Podlaskiej

Nr inwentarza

Dez. biblioteki

564

